Nr. 5. Poznań, Niedziela 29go Kwietnia 1894 r. Rok I.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański" wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Bramkowa ul. 7.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy.

Przedpłata kwartalna
wynosi **w Poznaniu** 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), **w Niemczech i Austryi** 3,75 Mr. (fl. 2,25), w innych krajach europejskich i w Ameryce 4,00 Mr. Prenumeratę przyjmują: **Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 85. a.**

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen., pod opaską 40 fen.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Z powodu artykułu „Ubywające siły."

Pod tym tytułem podał nam „Przegląd Poznański" w 2gim numerze rzecz o wychodźtwie. Zajmuje ono u nas umysły spostrzegawcze, szerszych poglądów, jako objaw ruchu świadczący, że lud nasz przestał być masą bierną, że duch w nim ożył, że zaczyna radzić o sobie i szuka instynktowo dróg, prowadzących do polepszenia bytu.

Kwestya ta, dotykająca z blizka warstw roboczych, oddziaływająca niekorzystnie podniesieniem wartości pracy na warstwy pracodajne, nie może być obojętną dla kraju wcale nie przeludnionego jak nasz. O ile jest ona ważną, o tyle niebezpieczną dla swej obosieczności. Zręcznie przeto i umiejętnie należy ją uchwycić i oględnie nią obracać, by nie ranić własnego ciała.

Ubolewamy, iż nie możemy przyznać szanownemu autorowi zachowania umiarkowanej ostrożności, nie szczędzi on bowiem na samym wstępie cięć „pewnej sferze," macha dwusiecznym mieczem na prawo i nalewo, kaleczy własne członki, bez dodatniego rezultatu dla podjętej rzeczy.

Takiej metody nie można uznać za właściwą, ani też za prowadzącą do pożądanego celu, nie pomoże ona, prędzej zaszkodzi sprawie.

Nie jest dotąd przyjętem w rozprawach publicystycznych, ażeby z góry bez żadnych, danych odmawiać przeciwnikowi „pojęć" o zasadzie chrześcijańskiej równości, — o zdobyczach cywilizacyi itp., ani też godzi się obrzucać go insynuacyami bez możliwości ich udowodnienia, a cóż dopiero podsuwać egoistyczne motywy dobrym zamiarom i szlachetnym czynom.

Szanując zasadę, że nie wolno nikomu zaglądać w sumienie bliźniego i odgadywać wewnętrznych intencyj, nie będziemy dochodzili, jakie pobudki skłoniły szan. autora do rzekomych rewelacyi i odpowiemy na nie spokojnie — broń Boże! nie w roli rzecznika onej jakiejś „pewnej sfery" lecz dla wyprostowania zboczeń i wyprowadzenia sprawy z niekorzystnych dla niej szranków polemicznych, na tory rzeczywistego jej przebiegu i położenia faktycznego. Będziemy się starali trzymać ściśle przedmiotu, ograniczymy się na zebraniu i przedstawieniu faktów występujących z natury rzeczy, a ocena jej sama się nasunie.

Różnimy się z szan. autorem zasadniczo w poglądach na wychodźtwo i jego znaczenie tem, że on widzi tylko jednę stronę nim dotkniętą tj. lud wychodzący za morze, i w jego stawa obronie: — my zaś widzimy dwie strony, lud który równie jak jemu jest nam blizki i bratni, a prócz niego ziemię, która opuszczona przez dzieci na jej łonie wykarmione, stałaby stę zdobyczą plemienia obcego.

Lubo ekonomja jako nauka jest powszechną, jedną i tą samą dla wszystkich krajów, to jednakże zastosowanie jej prawideł, ma się naginać do stopnia cywilizacyi danego kraju, obyczajów, miejscowych potrzeb i pojęć. W naszem wyjątkowem położeniu osaczonem tylu przeciwnościami, musi się ekonomija liczyć z ustrojem narodowym naszego kraju, winna być przeto społeczną. Nie może ona zatem w kwestyi wychodźtwa zajmować się tylko ludem roboczym, ale musi mieć również na oku ziemię, która przez wychodźctwo wyludniona, przeszłaby w ręce obce i zostałaby na zawsze dla Polski stracona.

Szan. autor nie liczy się z tą drugą równie ważną stroną, nie pyta o to, co się stanie z ziemią, kto ją posiądzie, gdy te jego „wytrwałe" „Ślimaki," „Placówki," „Chamy idealne," pożegnają niezgłębione tonie rzek rodzinnych i pociągną w daleki świat po pracę? „Zatrzymajcie ich — woła — wy wszyscy co marzyliście, że wielka siła i wytrwałość kmiotka pozwoli mu zwalczyć potrzebę życia! Wy, co myśleliście, że w bezdennej toni jego duszy znajduje się także skład materyałów spożywczych. (?) Bolesna ironja życia zadrwiła z nas, zadrwiła zarówno z tych co myśleli, iż masy ludowe są po to, żeby wspierać swą pracą egzystencye kilku wybranych, jak i z tych co roili o wznowieniu patryarchalnych stosunków ojcowskiej opieki dworu nad chatą i wiecznej zależności ostatniej . . . ." Czego mamy się domyślać w dalszym ciągu z położonych kropek, czy nie batów na snopku?) Co mają znaczyć, te Ślimaki, Placówki, Chamy idealne jak i ta szumna filipika przyczepiona niewłaściwie do kwestyi wychodźctwa, jest dla nas zagadką, której klucz tkwi chyba w nieprzychylnem usposobieniu szan. autora do posiadaczów ziemi, którego nić czarna snuje się od początku do końca artykułu.

W procesie wychodźctwa, który się toczy między pracobiorcami a pracodawcami, w którym pierwsi skarżą się, że dla braku wystarczającego zarobku muszą opuszczać kraj, — a drudzy broniąc się twierdzą, że nie mogą drożej opłacać pracy, bo wartość produkcyi jest za nizka i nie opłaca się, to narzucający się pośrednik' jeśli chce zająć stanowisko rozjemcy, winien zbadać powody, znać dokładnie sytuacyę tak jednej jak drugiej strony, zrównoważyć ich obowiązki dla kraju, a dopiero na zestawieniu jednych z drugimi oprzeć sąd bezstronny. Ale zapatrywania ekonomiczne oparte na zdaniach ludzi niekompetentnych, lub stronniczych, bez doświadczenia wziętego z życia, bez poglądu ogarniającego przedmiot cały, bez przeświadczenia własnego opartego na spostrzeżeniach praktycznych, zamącają położenie sprawy, zwiększają chaos, zaostrzają wzajemny stosunek stron i utrudniają porozumienie.

O co właściwie chodzić nam powinno, ażeby zapobiedz wychodźctwu i utrzymać ziemię w polskich rękach? A to o to, ażeby robotnik miał dostateczne utrzymanie, którego praca nie powinna być jednak droższą od wartości wyprodukowanych przez niego płodów, ażeby producent nie był narażony na bankructwo. I taki stosunek jest też u nas nieomal powszechny. Cena pracy poszła w górę od lat kilkunastu za czasów wyższych cen produktów i utrzymuje się na tej stopie, pomimo, że ceny produktów o 50 procent spadły. Dzisiaj nie tyle robotnik, ile producent musi walczyć z biedą, ażeby ta korzystając z złych konjunktur produkcyjnych nie wywłaszczyła go z kapitału.

Oczywistem jest, że nasz producent nie może tak drogo płacić za pracę jak płacą na zachodzie, bo za swe produkty jako oddalone od targów głównych znacznie niższe bierze ceny, przytem klimat ostrzejszy nie sprzyja kulturze ziemi i zmniejsza jej wydajność. Te okoliczności ujemne winien uwzględnić ekonomista zapatrujący się bezstronnie na pretensye pracobiorców do pracodawców czy producentów. Z tego, że na zachodzie droższa jest płaca niż u nas nie wynika, ażeby robotnik — jako obywatel kraju, mający utrzymanie na ziemi rodzinnej, miał wynosić w swych muszkułach pracę, jak szan. autor twierdzi, na targi obce droższe, takiem prawem, jakiem producent swe produkty w workach wysyła. Taka analogia jest zwodnicza i gdyby miała służyć jako przykład, to mogłaby zrujnować byt nasz narodowy: albowiem prawo służące pracobiorcy rozciągnęłoby się także i na pracodawcę, który nie mając rąk do pracy albo przepłacając takowe gospodarowałby z deficytem, który z czasem pochłonąłby cały kapitał. Zapobiegając temu salwowaliby producenci swe kapitały złożone w ziemi i przenosiliby się z nimi do krajów, których stosunki są korzystniejsze dla produkcyi rolniczej. A jednakże dotąd — prócz wyjątków znanych — ogół trzyma się ziemi, ogranicza się w potrzebach, pracuje skrzętnie i stawia czoło przeciwnościom, o których nasi doktrynerowie nie mają pojęcia.

Myli się szan. autor, iż są tacy, którzy myślą, iż masy ludu są po to, żeby wspierać swą pracą egzystencye kilku wybranych. A jeśliby byli, to chyba jacy zacofańcy nam nieznani, o których zamilczy pisarz, mający poruszoną sprawę

na oku, by fałszywym zgrzytem nie wywołać drażniącego echa. Lud roboczy pomaga swą pracą nie kilku wybranym, lecz jak powszechnie wiadomo nietylko ekonomistom lecz i profanom, kilkunastu tysięcom posiedzicieli ziemi większych i mniejszych, na których byt kraju przeważnie rolniczego głównie się opiera.

Czy inwektywy o wznowieniu patryarchalnych stosunków, ojcowskiej opieki dworu nad chatą i wiecznej zależności ostatniej .... także należą do studiów ekonomicznych nad wychodźctwem? Prosimy szan. autora, ażeby nam wskazał źródło z jakiego ma tę wiadomość, oraz osoby których głowy na te wsteczne pomysły laborowały, bo na słowa puszczone w świat w celu rzucenia podejrzeń ciemnych, czy na osoby czy na stany winien stawiony być dowód.

Pomijamy dalszy ciąg enuncyacyj, by nie zabierać czasu czytelnikom, a pismu miejsca i przechodzimy do środków zaradczych, jakie nam szan. autor podaje ku powstrzymaniu wychodźetwa, a tymi są, — podniesienie robotnika do poziomu właściciela i dostarczanie pracy.

Godzimy się na nie kompletnie. Pierwsze praktykuje się już od kilku lat przez Bank ziemski, przy ułatwieniu nabywania ziemi za pośrednictwem Banku rentowego, który do $^3/_4$ wartości ziemi wypożycza na amortyzacyę swe kapitały. Mimo to nie chwytają skwapliwie ziemi drobni nabywcy. Wielu posiedzicieli większych. oddało całe swe folwarki pod parcelacyą, tysiące morgów wyczekują nabywców daremnie. Pokazuje się z tego, że nie marzenia o przywróceniu patryarchalnych czasów, lecz brak kapitałów nietylko między robotnikami, lecz i między małymi rolnikami w ogóle jest powodem, że nabywanie ziemi postępuje leniwo. Z Ameryki nie wracają nasi robotnicy z kapitałami chyba wyjątkowo, tak samo i z kopalń westfalskich, chociaż tam do 4 marek dziennie zarabiają. Notorycznie tylko o jednym robotniku dowiedzieliśmy się, który wróciwszy z Ameryki zakupił parcelę ziemi za pośrednictwem Banku ziemskiego. Nasz robotnik tak samo jak starsi jego bracia nie ma wrodzonej oszczędności i dla tego ciągle choruje na biedę. Brak oszczędności jak spowodował wystawienie folwarków na parcelacyę, tak też jest przeszkodą korzystania z tejże.

Przeciwnie w Galicyi, tam wychodźctwo nietylko nie przynosi rolnictwu żadnej szkody, ponieważ jest przeludnienie, ale nadto sprowadza kapitały do kraju. Chłop galicyjski, Rusin, o ciasnych żołądkowych trzewiach i skromnym apetycie, jest idealniejszy i oszczędniejszy od naszego. Przywiązanie do ojczystej ziemi upiększonej górami, wijącymi się wśród nich ruczaami i szumiącymi lasami jest u niego wrodzone. Opuszcza swą wioskę z postanowieniem, że za lat kilka powróci. W Ameryce otrząsa się ze szczepowego lenistwa, pracuje pilnie, mało wydaje i w rok wysyła pieniądze do swoich. Opowiadali nam w Galicyi ludzie wiarogodni, że pod Jasłem w pewnej parafii, przysłali wychodzący w jednym roku na ręce swego proboszcza przeszło 80,000 guldenów. W Galicyi są nowe osady zakupione za kapitały zapracowane w Ameryce.

Gdyby nasi wychodźccy tak samo zbierali kapitały i wracali by zakupić ziemię, która na nich czeka, tobyśmy ich z otwartemi powitali rękami jako posiedzicieli ziemskich i zwiastunów „nowej ery.“

Szan. autor kończy zdaniem, że ubywające siły może zatrzymać na miejscu praca — nie frazes! Zupełna racya, frazes, bowiem mianowicie zgryźliwy razi czucie, oddala myśl od właściwego punktu widzenia i przeszkadza porozumieniu. *J.*

* * *

Artykuł powyższy przesłaliśmy zaczepionemu współpracownikowi pisma naszego J. Rastawicy, który nam następującą nadesłał odpowiedź:

Odpowiedź.

Panu J. wydaje się, że „zręcznie i umiejętnie schwycił“ sprawę wychodźctwa i wyprowadził ją „z niekorzystnych szranków polemicznych na tory rzeczywistego jej przebiegu i położenia faktycznego!“ Jestem przeciwnego zdania: autor powyższej odpowiedzi ściąga kwestyę traktowaną przedmiotowo na pole polemiki, insynuując mi „nieprzychylne usposobienie do posiadaczów ziemi,“ a kwestyę ekonomiczną z rzeczowej podstawy sprowadza w dziedzinę utopii.

Przedewszystkiem śmiem zwrócić uwagę Szanownego oponenta, że w artykule „Ubywające siły,“ zajmuję się faktycznymi bodźcami, pchającymi ludność robotniczą do emigracyi. — wzmiankując o nich z całą ostrożnością bez dotykania ran bolących — i podaję środki zapobiedz mogące temu ubywaniu sił naszych. Owa zatem druga strona kwestyi nieuwzględniona przezemnie według zdania p. J. i, co do której „różnimy się zasadniczo“ tj. straty, jakie ponosi ziemia „opuszczona przez dzieci na jej łonie wykarmione,“ nie jest bynajmniej wynalazkiem p. J., lecz przewodnią myślą mego artykułu. Prosta logika dyktuje, że ktoś, co podaje środki przeciwdziałania wychodźctwu na które to środki nawet p. J. „godzi się kompletnie“, ten uważa widać wychodźctwo za objaw, któremu zapobiedz należy — lecz Szanowny oponent, zamiast zajmować się logicznym rozbiorem zdań przez się czytanych, wolał w nich szukać materyału do polemiki i okazyi wypowiedzenia kilku zgryźliwych zwrotów mających widocznie przyczynić się do zgodnego „porozumienia.“

Nową dla mnie jest rzeczą teorya „ekonomii społecznej“ pana J.., którą przedstawia mi jako wzór „faktycznego“ traktowania sprawy. Pan J. widać nie wie, że prawa ekomiczne działają z matematyczną ścisłością i nie znają „wyjątków“. Przyczyny i następstwa są z sobą w logicznym związku i te ostatnie nie cofną się przed pytaniem „co się stanie z ziemią,“ nie dadzą się zażegnać, choćby z najszlachetniejszych źródeł czerpanemi hasłami. Takie właśnie hasła miałem na myśli, żądając aby ujemnym zjawiskom ekokomicznym przeciwstawiono zamiast frazesów ekonomiczną reformę.

— Chcąc uniknąć następstw — przyczyny usunąć trzeba! Inaczej myśli p. J., twierdząc, że stosunki robotnicze w Wielkopolsce są bardzo korzystne, (czyli, że tak potężne zjawisko, jak masowa emigracya nie ma swoich przyczyn ekonomicznych) i że „robotnik — jako obywatel kraju mający utrzymanie na ziemi rodzinnej“ nie powinien wynosić pracy na obce targi, — to ostatnie zdanie może być zrozumiane jako pedagogiczno-moralne, lecz w ekonomii nie ma nań miejsca i pozostaje frazesem, tembardziej, ży nie mówimy o tych, którzy mają „utrzymanie na ziemi rodzinnej.“

Jeżeli w moim artykule wspomniałem o pewnej sferze — to nie ziemian, pośród których wielu umie myśleć, lecz tę właśnie sferę umysłową na uwadze miałem, która bezwocnemi hasłami i podniosłemi zkądinąd zasadami, zastępuje znajomość i rozumne odniesienie się do rozbudzonych i rzeczywistych potrzeb ludu: sferę umysłową, której znamieniem ciasny subjektywizm i której przedstawicieli pełno w każdym stanie; uważają się oni za stróżów publicznego porządku i zawsze gotowi przeciwnikowi zamiast wymiany zdań, bryznąć w oczy zarzutem: zdrajcy ludu i nieprzyjaciela mieszczan, albo, jak w danym wypadku „nieprzychylnego usposobienia do posiadaczy ziemi.“

Czuję się jeszcze obowiązanym dopomódz Szanownemu oponentowi, w rozwiązaniu zagadki, „co mają znaczyć te „Ślimaki, Placówki, Chamy“ ... Pan J. szuka naturalnie też klucza do niej w: „nieprzychylnem usposobieniu ... itd.,“ a tkwi on gdzieindziej: mianowicie w znajomości polskiej literatury! ... „Placówka,“ jest to tytuł powieści Bolesława Prusa, a jej bohater chłop, nazywa się „Ślimak.“ — „Cham“ jest również tytułem powieści Elizy Orzeszkowej. W obu tych powieściach omawianych niedawno w kołach

---

5)

CEZARY JELLENTA.

TRYUMFY PANA WALEREGO.

(Ciąg dalszy.)

Pokrzepiony własnymi argumentami, zbliżył się do drzwi salonu. Były już zastawione szpalerem młodzieży. Przecisnął się za ich plecami ku oknu i stanął za wielkimi liśćmi palmy, a tuż przy nim, na prawo, odpoczywała na krześle Runiczówna, chłodząc się wachlarzem. Obok stał Leszczyk i pochylony, mówił jéj coś długo i głosem stłumionym. Walery twarzy jej nie widział, ale czuł aromat zagrzanego ciała dziewicy, upajający ... Potem uczuł coś więcej — żądło zazdrości. Ten młody smyk ma powodzenie, głupi jest pewnie jak but, ale dobrze maluje konie i charty. Z nim niema co pokazywać się w jednem towarzystwie. Toć przecie dla niego i jemu podobnych ten rozchylający się pąk róży wyziewa swą silną woń, od której doznaje się zawrotu głowy ...

Wrzawa stopniowo cichła, coraz więcej osób siedziało wzdłuż ścian, aż wreszcie pani Łozicka, njrzawszy jednę tylko zapóźnioną parę walcujących, przestała grać. Wnet przybiegli panowie dziękować jéj i nastała pauza, na tle której słychać było urywane słowa i cichy łopot wachlarzów.

Trwało to jednak niedługo. Wszedł do salonu nowy gość i zwrócił uwagę powszechną. Był to ociemniały grajek, prowadzony pod rękę przez pana Biedackiego, słynnego na całą Warszawę wodzireja. Dotąd nie było go widać ani słychać.

I nie wiele też na niego zwracano uwagi. Teraz jednak fizyognomia jego sterczała nad bosko wykrojonym frakiem i misternie związanym krawatem, nad trzema złotymi guzami, wielkości dukata, zamiast spinek, z wyrazem najwyższej godności. Pojmował doskonale, że jest teraz sternikiem, od którego dłoni zawisło życie załogi i świetniał cały zamiłowaniem swej roli. Wiedział dobrze, że teraz on tu figurą najważniejszą i że niczyje obuwie nie dorówna jego pantoflom lakierowanym z małemi kokardami. Toć on sam zresztą cenił je na równi że swym świeżym tytułem „kandydata praw“ i pamiętał o tem dobrze, że paru studentów wyższego kursu ubiegało się o możność mieszkania z nim razem, byleby w promieniach jego aureoli własne głowy okryć blaskiem ...

Ślepiec grał nader wprawnie i z siłą. Wiązał ze sobą najróżniejsze polki, układał je naprędce z aryj operowych i taką ochoczość zbudził w gościach, że się wszyscy prawie znaleźli na środku salonu. Powstał formalny ścisk, trącano się łokciami, zderzano plecami. Pan Biedacki jednak lawirował z przedziwną zręcznością z panną Jadwigą i obrócił większą liczbę razy, niż na to pozwala szkoła klasyczna w tańcu. Widocznie korzystając z ogólnego rozprzężenia wziął na swawolę i postanowił sobie zmęczyć swą damę. A objął ją silnie i lekko, w lewem ręku trzymając jej dłoń i swój złożony szapoklak. Panna Jadwiga dyszała zadowoleniem. Była w rzeczy samej zmęczona, ale tem rozkosznem znużeniem bachantki. Wreszcie wypadli zgrabnie i niepostrzeżenie do pobocznej sypialni Łozickich, oświetlonej różową lampą.

Walery patrzał ze swego obserwatoryum na Biedackiego i uczuł coś podobnego do wstydu, że się tutaj znalazł i jeszcze do domu nie poszedł. A swoją drogą dużo by dał, gdyby mógł wiedzieć, co teraz namiętna para robi, o czem rozmawia, jak Biedacki dziękował swej tancerce, jak z nią teraz siedzi na otomanie ...

A potem chwyciła się go ironia i strzeliło do głowy, czyby tak nie iść za nimi i nie wszcząć z panną Jadwigą rozmowy poważnej, uczonej?

Chwila była potemu, bo już wodzirej wracał. Jak prawdziwy wódz na stanowisku, nie pozwalał on sobie na odpoczynek i nie odbierał daniny pochlebstw od swych żołnierzy. Waleczny i niestrudzony szepnął już coś na ucho grajkowi. Ten puścił pedał i powoli przeszedł do pianissima.

Zanim jednak Walery zdecydował się iść poemablować pannę Jadwigę, już i ona zjawiła

czytającej polskiej publiczności występują właściwości wieśniaka w niezmiernie idealnem oświetleniu. „Szumna filipika“ zatem oznacza, że nie idealizować wieśniaka, ale znać go i jego potrzeby należy i jest ona co najmniej tak na miejscu, jak „góry“ „wijące się ruczaje“ i „szumiące lasy“ w artykule szanownego oponenta. *J. Rastawica.*

W sprawie artykułu „Bank ziemski w Poznaniu“.

Pomni zasady „Audiatur et altera pars“ zamieszczamy poniżej nadesłany nam artykuł p. Nowiny, zastrzegając sobie odpowiedź do przyszłego numeru.

Zdawaćby się mogło, że w społeczeństwie takiem jak nasze — powinny być pewne kwestye, żadnej już nie ulegające wątpliwości, uznane utarte — tymczasem na temat Banku ziemskiego, instytucyi, która już od lat pięciu rozwija swą czynność, zawiązała się naraz dyskusya w „Przeglądzie“ i „Dzienniku Poznańskim“.

Trudno nam się godzić na wywody strony jednej — a puszczając mimo tego rodzaju uboczne względy — jak hazardzik, śniadanko, fuzyjka — jako nie nadające się do poważnej dyskusyi — przypuścić można, iż geneza i powstanie Banku ziemskiego znane będą wszystkim w stosunki nasze jakokolwiek wtajemniczonym — z wyjątkiem zdaje się tylko jednego autora, który na temat instytucyi powyższej dwa spłodził artykuły.

Ks. Bismark, motywując czasu swego w parlamencie niemieckim stworzenie funduszu stumilionowego, jako środka do zgermanizowania Księstwa, wypowiedział zdanie, które tylko w naszej starej Europie przebrzmieć mogło bez głośniejszego echa i bez zwrócenia uwagi ogólnej na miarę umoralnienia żelaznego księcia. Owczesny kanclerz państwa niemieckiego wypowiedział ni mniej ni więcej: iż tak samo, jak wolno jest towarzystwom kolei żelaznej dla przeprowadzenia wytkniętej linii, wywłaszczyć posiadacza, wzbraniającego się sprzedać dobrowolnie grunt swój pod kolej — lub jak wolno jest fiskusowi zmusić do sprzedaży kogoś, na którego gruntach wzniesione być mają fortyfikacye dla obrony całego państwa — tak samo wolno jest ze względów podyktowanych przez wyższe pojęcie racyi stanu — ze względów dbałości o całość niemieckiego państwa — expropriować większą własność ziemską naszego Księstwa, jako rozsadnik i ognisko interesów narodowych polskich — interesom niemieckim, względnie pruskim, wręcz przeciwnych. W swej łaskawości dla nas polaków ks. Bismarck jednakże do środka tak radykalnego uciec się jeszcze chwilowo nie chciał, groził tylko tą ewentualnością, — natomiast stworzył kolonizacyę z funduszem 100 milionów, która wykupując majątki szlacheckie, osadzając na parcelach tychże majątków niemców, ma zadanie zgermanizować Księstwo, szlachcie zaś dać sposobność za zrealizowane sumy podjąć podróż — nie gdzie indziej jak do...... Monako. Ironii większej — sarkazmu dotkliwszego trudno wymyślić.

Czy więc ci, pod adresem których słowa powyższe wypowiedziane zostały, mieli na to wyzwanie odpowiedzieć milczeniem — czy też zebrawszy ostatek sił stworzyć „coś“ dla zadokumentowania „czegoś“?

Wartoby przytoczyć na tem miejscu bajkę o młynarzu, który — czy sam jedzie na ośle, czy też syna obok siebie posadzi, czy też razem z nim pieszo podróżuje — zawsze niezadowolenie przechodniów wzbudza. Gdyby więc szlachta na „kolonizacyę“, czyli zamiar wyrzucenia jej ze ziemi, była odpowiedziała milczeniem, byłyby się naturalnie posypały inwektywy, że wszelkie poczucie honoru w niej już przygasło, — więc nie tyle może z tej przyczyny, gdyż trudno dogodzić wszystkim, a zwłaszcza ludziom złej woli — ile dla zadokumentowania „czegoś“, tj. siły odporu wobec rządu — a żywotności swej wobec społeczeństwa — postanowiono stworzyć „coś“ tj. Bank ziemski z kapitałem 1,200,000 Marek. Rzeczą chyba jasną, że jeżeli państwo niemieckie z 50-milionową ludnością przeznaczyć mogło 100 milionów na wykupno polskiej ziemi — czyli 2 Marki z głowy — że wycieńczona ofiarnością narodową większa własność zdobywając się na 1,200,000 M. li tylko w odpowiedzi na wywody kanclerskie przedstawiała jeżli już nie widok walki Dawida z Goliatem to w każdym razie złożyła dowody tylko wypróbowanej swej ofiarności i patryotyzmu. Tymczasem chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi. W szlachetnem oburzeniu nowo stworzona instytucya byłaby może poronionem dziełem, gdyby nie okoliczność, że chwila powstania Banku jakimś dziwnym zbiegiem zeszła się z chwilą, w której system gospodarstwa rolnego w całych Niemczech, a tym samem w naszem Księstwie — chcąc się wogóle nadal ostać — gruntownemu uledz musiał przeobrażeniu. Konkurencya Kolonij, t. j. Ameryki i Indyi w zbożu, a szczególnie konkurencya Australii, zarzucającej nas tanio produkowaną wełną — była przyczyną, że rolnictwo niemieckie — specyalnie zaś nasze wskutek „skasowania owiec“ jako tyle ważnego w naszym systemie czynnika gospodarskiego — przejść było zmuszonem ze systemu gospodarowania ekstenzywnego na intenzywny. Wobec zmniejszającej się renty ziemi sprostać danym ciężarom, opłacić procenty od zahypotekowanych kapitałów, możliwem jest tylko obecnie przez skupienie sił swoich gospodarskich na mniejszym obszarze i tegoż mniejszego obszaru ekonomicznem wyzyskaniu.

Zarzuci nam może autor dwóch artykułów, że to wymysł, którego przyczyną hazardzik — fuzyjka — śniadanko — tymczasem konieczność tę odczuł sam rząd niemiecki, który prawo parcelacyjne z roku 90 — ulepszone rozporządzeniem z dnia 7 lipca 91 — zaprawdę nie dla samego tylko Księstwa, lecz dla całych Niemiec, stworzył i w życie wprowadził.

Bank ziemski, gdyby miał ratować zachwianych, byłby zmuszony fundusze swoje na niepewnych umieścić hypotekach — tymczasem jak bankowi hypotecznemu, brakło naszej instytucyi odpowiedniego kapitału, a zwłaszcza sankcyi prześwietnego rządu. Lecz na szczęście w tej samej chwili otworzyło się dla Banku Ziemskiego nowe pole działalności — janko Banku parcelacyjnego. Obywatel ziemski, który na większym obszarze, w nowych i niezależnie od siebie stworzonych warunkach utrzymać się nie mógł, jeśli było możliwem, a fundusze Banku zezwalały na to — tam szukał pomocy.

Stosując się do przyjętego pewnika, że zagospodarowanie pól oddalonych od centrum gospodarczego, t. j. podwórza, więcej jak kilometr, nie przedstawia żadnych prawie korzyści, i że renta pól w takiem oddaleniu położonych niknie w proporcyi geometrycznej do oddalenia samego — właściciel większej własności stara się na pole takie znaleść nabywców i tutaj w dziwny sposób schodzi się i zespala interes właściciela większej własności z interesem naszym narodowym i społecznym. Przy wrodzonej włościaninowi naszemu chęci nabycia i posiadania ziemi, — na dane parcele przy jakiem takiem korzystnem położeniu pod względem komunikacyjnym — reflektantów znaleść stosunkowo dość łatwo. Właścicielowi pozostałego po częściowem rozparcelowaniu folwarku — możliwem jest swój areał oczyścić z długów — zagospodarować intenzywniej, pozaprowadzać konieczne meljoracye — nabywcy nowych parceli — dotąd prawie nieużytków — zamienić takowe w żyzne pola. Oprócz w oczy bijącej ekonomicznej korzyści, wyłania się tutaj równocześnie dla nas wielka i doniosła korzyść narodowa i społeczna.

Większa własność, rozpadająca się na fol-

---

się w salonie z pałającemi zadowolonemi oczyma. Jakieś lekko fiołkowe odblaski błąkały się po jej białej, pełnej twarzy . . .

Z kilku urwanych taktów łatwo było domyślić się, że przyszła kolej na drugi kontredans. Waleremu zlekka zabiło serce i coś niby trwoga żaka wzruszyła go. Obejrzał się po salonie, szukając Murawskiej.

Tymczasem dwóch fagasów roznosiło lody, cukry i limonadę. Grajek siedział przed fortepianem sztywno, nieruchomie jak automat, z głową lekko pochyloną, i dziwny kontrast tworzył z całym tym barwnym, lśniącym i rozgadanym tłumem. Łozicka z poczciwym uśmiechem, dla niego niewidzialnym, doszła z ciastkiem na talerzu i poprosiła, żeby pozwolił. Podziękował, nie wychodząc z nieruchomej postawy, wziął je do ręki, jadł nieśmiało, cicho, po każdym kęsie ocierając wąsy i usta chusteczką.

Walery na ten widok zapomniał o sobie szarpnięty nie poraz pierwszy bólem i współczuciem bezmiernem. Potem zaczął zestawiać swoje udręczenia z ogromem nieszczęścia biednego muzyka i zdziwił się wielce, że nie zmalały one bynajmniej do zera. Owszem, bodły go, piekły ostrą mieszaniną zazdrości, gniewu i żalu i przyszła do głowy myśl, że gdyby na dzisiejszy wieczór stracił zdolność widzenia, możeby uniknął wstrząśnień, których ślady zapewne nie tak prędko dadzą się zatrzeć.

Znowu zbliżył się Biedacki do fortepianu i grajek zaczął kontredansa, a pary stopniowo oddzielały się od ścian i ustawiały na wprost siebie. Walery z ukłonem i uśmiechem przystąpił do Murawskiej i podał jej ramię.

— Otóż i jestem . . . dawno niewidziany . .

— A! wykrzyknęła zlekka i podniosła się z krzesła żwawo i wesoło. — A kto jest naszem vis-a-vis?

— Postarałem się o kogoś godnego mojej damy.

— Któż to taki? — spytała zaciekawiona

— A, to niespodzianka . . .

Niewyraźny szmer dał się słyszeć, któryś z panów nachylił się do swej damy i wyrzekł coś półgłosem.

— Czy być może? zawołała, a z oczu strzelił wielki, niespodziany zachwyt.

Widocznie radosna wieść niosła się po szeregach, bo po kolei wszyscy oglądali się za siebie w stronę to jadalni, to przedpokoju.

Murawskę Walery wiódł sprężystym krokiem i zatrzymał się przed drzwiami budoaru. Wybrał to miejsce z rozmysłu, ażeby mieć dłuższy teren i dłuższą przyjemność tańczenia z uroczą wdówką. Nareszcie! doczekał tego, że czuje ciepło jej ręki pod swojem ramieniem i niebawem obejmie jej wiotką kibić . . .

Nagle ręka ta drgnęła. Odwróciła ku Waleremu twarz całą zarumienioną, i z niewysłowioną błogością, półtajemniczo rzekła:

— Podobno Gadziński przyszedł!

— Kto? — odparł — tknięty już zawczasu złem przeczuciem, które go oszołomiło na razie i nie dozwoliło usłyszeć nazwiska.

Ale ona już nie odpowiadała, zajęta pilnem wpatrywaniem się w grupę osób, w której rozróżnić było można ministeryalny chód mecenasa Łozickiego i jakąś dużą postać.

— Gadziński! szeptano sobie w pobliżu Walerego.

Parę osób pośpieszyło na jego spotkanie. O tańcu przestano myśleć: Powszechna uwaga zajęta doniosłym faktem przybycia „naszego słynnego“ aktora. Prąd elektryczny wszystkim się udzielił.

Ach panie, jaki on cudowny, przecież jemu geniusz bije z oczów! unosiła się Morawska. Założyłabym się, że będzie deklamować!

Geniusz zarysował się już w całej pełni. Była to ogromna, ciężka, dosyć bezkształtna figura, ze śladami niedogolonego zarostu. — Mężczyzna młody, z cerą zdrową, ale wzrokiem sennym. Pod rękę z nim szedł snany jego przyjaciel, niedoszły literat, Hryski, oczywiście dobry znajomy i Łozickich, bo obracał się nader swobodnie i wesoło witał z gośćmi i przedstawiał ich artyście, który się uśmiechał dobrotliwie.

Walery, blady ogromnie, zrobił dobrą minę na złą grę i zagadnął donośniej niż zwykle, z wyśmienitym akcentem rzeźkości.

wark o morgach kilkuset lub więcej — oraz na taką i taką ilość mniejszych gospodarstw włościańskich, pozostaje wprawdzie na mniejszym obszarze, lecz za to w warunkach finansowo skonsolidowanych nadal naturalnem ogniskiem idei konserwatywnych — natomiast na wytworzonych parcelach osiedla się cały zastęp nowych osobników narodowych z obywatelskiemi prawami. Znane zaś przywiązanie naszego włościanina do ziemi i gorączkowe pragnienie tejże posiadania, daje gwarancyę, że czasy socyalizmu — gdzieindziej tak bliskie — u nas jeszcze dalekie, albo zgoła niedoścignione.

Więc cieszyć nam się wypada, że działalność Banku ziemskiego, stworzonego w chwilowem oburzeniu, ku praktycznym celom skierowaną być mogła — że instytucya powstała, jak tyle innych, z ofiarności szlacheckiej — o ile jej na to pozwalają fundusze — ustala egzystencyę większej własności, krzewiąc pod jej bokiem mniejszą własność polską — pewnej kasty ciężar spraw społecznych dotąd podtrzymującej nie niszcząc — nową ruchliwą w ponoszeniu tego ciężaru w przyszłości udział brać mogącą — wytwarza, — ekonomiczną wartość ziemi naszej podnosi — napływ zgubnych idei socyalnych przez osadzenie na glebie polskiej całego szeregu pionków — z samego faktu posiadania własności tym ideom przeciwnych — tamując.

Dla tego sądzimy, że obywatelstwo ziemskie dawszy nowy dowód siły stworzenia czegoś dodatniego, na zarzut „pnia spróchniałego“ zasługiwać nie może. Tembardziej niezrozumiałem jest żądanie złożenia dalszych 800,000 marek. Tu już wspomniany autor wchodzi w kolizyę z najprostszą logiką. Trudno bowiem żądać od pnia spróchniałego sumy takiej, jak 800,000 marek — albo żądając takowej obywatelstwa próchnem mianować się nie godzi.

Jeśli zaś Bank ziemski ma przyspieszać rozkład elementu szlacheckiego, to czy ten element szanownemu autorowi pod względem społecznym jest wygodnym lub niewygodnym, żądać nie można od obywatelstwa wiejskiego, aby dawało grosz swój nawet ostatni w celu, który ten rozkład wprost ma przyspieszyć.

Chrystyanizm stawia zasadę: miłuj bliźniego twego, jak siebie samego — tymczasem w tym tutaj przypadku, mamy bliźniego więcej kochać jak siebie samego. Ruch ludowy, którego dźwignią ma się stać Bank ziemski, uważamy w stosunkach naszych za niezmiernie ważny i całą, przy odpowiednich tego ruchu objawach, gotowi jesteśmy temuż poświęcić sympatyę i uwagę — lecz trudno przecież żądać, abyśmy w miłości bliźniego, w sympatyach do ruchu tego, szli dalej jak w miłości nas samych. Więc, jeśli, do nowych znowu powołani mamy być ofiar, to chyba nie z tytułu takiego. Zresztą tej ofiarności chwilowo dosyć — czujemy się wycieńczeni takową. W zamian tego, niechaj ci, którzy tak śmiało po berło spraw społecznych sięgają — patryotyzmu złożą dowody, zdobywając się na ofiarność

Spółki pożyczkowe Banku przemysłowego, znacznymi dysponując funduszami, niechaj Bank ziemski poprą i nowych sił do dalszego rozwoju użyczą. Myśl tę tak bliską, szanownemu autorowi pod rozwagę poddać się ośmielamy.

Że strzecha szlachecka pochylona, przyznajemy, niejedna w niej zagięła się belka, niejeden w niej załamał się podciąg — burze stuletnie tego przyczyną.

Szanownemu autorowi bodaj nie spieszno z tej dzisiaj tak skromnej strzechy — arkę narodowego przymierza — tablice z przykazaniami polskości przenieść do gmachu nowego i wspaniałego.

Zgoda! lecz gmachu tego dotąd jeszcze nie widzimy. Szanowny autor może właśnie zajęty sporządzeniem planów do gmachu tego — a może pierwszą do fundamentu w piecu swej logiki wypala cegiełkę — więc nie przeszkadzajmy, — a skoro gmach ten stanie nareszcie — wtedy sute obchodzić będziemy przenosiny.

Nowiny.

POLITYKA.

Przegląd prasy słowiańskiej:

Wychodzący w Opawie na Śląsku czeskim „Opavsky Tydennik“ o potrzebie nowego gimnazyum czeskiego na Śląsku austryackim pisze:

„W kraju, który na zachód odgranicza od Morawy, linija, idąca z Opawy na Fulnek, Granice i Holeszów, a na wschód z Frysztatu przez Cieszyn i Jabłonków, w kraju, w którym żyje okrom Polaków przeszło 340 tysięcy Czechów obok 126 tysięcy Niemców, znajduje się siedm szkół wyższych niemieckich, a tylko dwa gimnazya — w Opawie i w Walaskiem Międzyrzeczu — czeskie. O szkołach przemysłowych, zawodowych i rolniczych już nie mówimy: czy to nie iście po austryacku?

„O granice zachodnie tego kraju mniej troskać się wypada, za to groźnym jest stosunek na wschód, gdzie Czesi granicą z Polakami. Tam to są główne środowiska przemysłu śląskiego, około których leżą wsie z sześcio lub siedmiotysięczną ludnością.

„Jest tam wielki procent ludności polskiej, ale ta się niemczy tak szybko, że przez nią wdziera się niemczyzna i do ludu czeskiego. Aby ludność czeską zachować; powzięto przed niedawnym czasem myśl chwalebną wybudowania w miastach śląskich, Frydku lub Polskiej Ostrawie gimnazyum czeskiego.

„Kwestya czeskiego gimnazyum jest kwestyą egzystencyi naszej narodowości, więc trzeba myśl tę co najrychlej zrealizować.“

* * *

„Glas Crngorca“ pisze o emigracyi Czarnogórców do Bośni, co następuje:

„Władze serajewskie powzięły przed dwoma, czy trzema laty myśl osadzenia Czarnogórców w Bośni. Tymto sposobem chciałyby poniżyć Czarnogórę, o której wiedzą, że wielkim otoczona jest urokiem wśród ludu serbskiego, a podnieść znaczenie Austryi. Maszo Vrbica podjął się werbowania Czarnogórców. Maszow powiodło się zwabić do Bośni kilkunastu Czarnogórców, wprawdzie nie wprost z Czarnogórza, lecz tych tylko, których stosunki majątkowe lub polityczne zmusiły do emigrowania do Serbii. Pomiędzy nimi byli dwaj bracia Pejowicze z Ceklina, pop Dioko, były dowódzca ceklinskiego batalionu i brat jego Ica, były powiernik księcia Mikołaja. Odkąd ich Masza Vrbica wywabił do Bośni, obiecuje im złote góry.

Minister Bośniacki, Kallay przyjął braci Pejowiczów bardzo łaskawie i przyrzekł każdemu 2400 złr. rocznej płacy, a okrom tego podarował im majątek w Magljanach, przynoszący dochodu rocznie około 5,000 złr. Równocześnie poczęły się w rządowych pismach serbskich pojawiać pogłoski, że junacy najdzielniejsi opuszczają Czarnogórę nie chcąc dalej pozostawać pod despotycznym rządem księcia Mikołaja. Zamiarem władzy bośniackiej było, aby bracia Pejowicze przywiedli do Bośni wszystkich Pejowiczów, wyrzekli się Czarnogóry i przyjęli poddaństwo austryackie.

„Bracia Pejowicze mimo to, iż się znajdowali się w smutnem położeniu propozycyę odrzucili i w niezawisłych pismach serbskich ogłosili, że nie po to do Bośni przyszli, aby „zgubić swą duszę i zbezcześcić imię rodowe“, ale tylko dla tego, żeby znaleść na czas krótki przytułek pomiędzy braterskim ludem serbskim. Skutkiem tego ogłoszenia pertraktacye się rozbiły i Pejowicze Bośnię opuścili, aby wrócić do Czarnogóry.

„Ten postępek braci Pejowiczów nie pozo-

— Ach, ja sobie to bożyszcze wyobrażałem nieco poetyczniej. I jak deski sceniczne mogą takiego mastodonta udźwignąć!

Po raz pierwszy wieczoru tego odmalował się na twarzy Murawskiej zły, impertynecki wyraz i znikła doszczętnie łagodność. Była poprostu oburzona: jej świętość ktoś śmiał profanować.

— To pan chyba nie widział go nigdy występującego? Przecież to rzecz powszechnie wiadoma, że nikt się tak lekko nie porusza na scenie, jak on. Toć on poprostu pływa . . .

— A, że pływa, w to wierzę . . . kto ma tyle sadła . . . No, ale z naszego tańca, jak na teraz zdaje się, nic nie będzie? Nieprawdaż? Tymczasem więc możemy sobie usiąść.

Puściła jego ramię i usiadła zirytywana. Prędko jednak pogoda wróciła jej na czoło. Chwila poznania się z Gadzińskim była niedaleką.

Walery nieznacznie się ulotnił. Zmierzał najwyraźniej ku przedpokojowi. Ale spostrzegł go Hryski i znienacka za rękaw uchwycił.

— Co, do djabła, nie witasz się już z przyjaciołmi? Uściśnęli sobie dłoń.

— Chodź, zapoznam cię z Gadziną, warto, powiadam ci, to setny chłop, zacna dusza . . .

Hryckiemu można było wierzyć na słowo. Sam bowiem miał minę rozumną i przekonywającą.

Walery trochę zakłopotany wyciągnął rękę ku Gadzińskiemu, który odpowiedział z uśmiechem sympatycznym tem samem i dodał głosem gromkim, lecz szlachetnie, melodyjnie brzmiącym, jak dobrze nastrojona wiolonczela, banalny frazes:

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana. Była w tem i pewna protekcyonalność tonu i modulacya taka, jakby rzecz działa się na scenie.

— Musisz wiedzieć, gadał jowialny Hrycki, wskazując na Walerego, że to prawdomówny stoik, prawdziwy zenończyk, bah, ale ty wiedzieć nie możesz, kto to był Zeno z Cytium. Oho, to siłacz nielada! Potrafi ci zrobić na drążku ośmnaście zarzutów z rzędu i ośmnaście dni pracować bez przerwy w swojej norze i nosa na ulicę nie wychylać. Przyślij mu wtedy ładną dziewczynę, a gotów jak Arystydes lub Epikur odesłać ją do domu, nie tknąwszy jej palcem. Oho, Gorzelski to siła nie lada!

Gadzińskiemu rozeszły się ku uszom tłuste policzki i już znacznie pokornej podał mu powtórnie rękę, lecz się ani na jedno słówko odpowiedzi nie zdobył.

Ja mogę zawtórować słowom pana Hryckiego, dodał poważnie, krocząc z nimi mecenas Łozicki, kontent że jego szwagra tak chwalą w obecności znakomitego artysty — tak, Gorzelski to siła i umysłowa i moralna . . .

— A coście do pioruna, wzięli dziś na kadzenie mi! — rzucił nieomal opryskliwie — i zatykając sobie uszy, wybiegł z salonu nieprzytomny.

* * *

Ktoś kleszczami ściskał mu szyję i tamował oddech. Nagromadziła się w nim wściekła energia bólu, który tkwił w piersiach twardą bryłą, niby ogromny skrzep krwi, płynącej z zewnętrznej rany i mogłaby się wyzwolić na zewnątrz tylko przez gwałtowne uderzenie głową o mur . . .

Kiedy już otwierał drzwi wchodowe, usłyszał nagle nie śmiało wymówione nazwisko swoje.

Obrócił się niechętnie. Stała przed nim zapłoniona aż po grzywkę panna Zagnańska, z poczciwą, kochającą twarzą, wielkiemi blado niebieskiemi oczyma jałówki. Grube jej wargi drżały ze wzruszenia, a szerokie mięsiste policzki siliły się na uśmiech. Grube jej wogóle rysy tchnęły życzliwością wielką i usposobiły Walerego łagodniej.

— Czem mogę służyć pani? spytał, mierząc z litością w sercu jej krępą figurę, o której niktby nie domyślił się, że jest własnością panny, a nie mężatki, karmiącej dziecko.

(Dokończenie nastąpi).

stał bez skutków na Serbów bośniackich, którzy już poczęli namowom Maszy Vrbicy ulegać. A i na Vrbicę zrobiło to wrażenie, tak, że dziś biega jako zwierz raniony i sam do siebie mówi: „„Gdzie się moja dusza podzieje i moje czestne imię?“ “

„Po odejściu braci Pejowiczów panowie serajewscy zrobili podobną propozycyę Czarnogórcowi Szymonowi Dziuraszkowiczowi, bawiącemu w Banialuce. Ale i Dziuraszkowicz ją odrzucił. Skutkiem tego oznajmił mu gubernator banialucki, hr. Lazarini, ażeby do dnia następnego, do godziny 7 rano Banialukę opuścił. Gdy się Dziuraszkowicz spytał Lazariniego o powód tak nagłego wydalenia, rzekł mu: „„Wyście tu zwąchali się ze Serbami i trzymacie z nimi.“ “ Na to mu Dziuraszkowicz: „Toć sam jestem Serbem i niczem innem być nie mogę!“ — „„Tak, ale wy idziecie z nieprzyjaciółmi Vrbicy.“ “ — „„Każdy Serb będzie mu wrogiem, dopóki Serbów sprzedaje.“ “ — „„Dość! Nie mów więcej!“ “ I potem Dziuraszkowicz z baszą banialuckim się pożegnał.“

* * *

Staroruski „Hałyczanin“ w artykule pod nagłówkiem: „Swój ku swemu“ tak nawołuje czytelników do popierania kupców Rusinów:

„Idzie nam w pierwszym rzędzie o oszczędność, w drugim o to, abyśmy wiedzieli, gdzie nieść grosz ruski.

„To „„gdzie“ “ jest jednem, ale wiele znaczącem słówkiem, które, jak nie trzeba lepiej, świadczy o świadomości narodowej, o poczuciu godności narodowej i jest miarą nietylko ogłędności narodowej, ale i patryotyzmu oraz dojrzałości politycznej. Mówić o naszej halickiej Rusi, że jest politycznie dojrzałą, byłoby zawcześnie, a nawet śmiesznie, bo masy naszego narodu jeszcze w połowie senne. Atoli są wśród nas legiony pod względem politycznym dojrzałych ludzi, a ich obowiązkiem patryotycznym jest półsenne masy budzić.

„To jedno słówko „„gdzie“ “, któreśmy nazwali miarą patryotyzmu, niechaj zastanawia dziś wszystkich wykształconych politycznie ludzi naszych.

„Gdzie pójdzie grosz biednego ruskiego ludu? Gdzie go odda dobrowolnie ruski adwokat, nauczyciel, ksiądz, gdzie poniesie nasz chłop ruski?

„Wszystkie handle z małymi wyjątkami są u nas w rękach obcych. Naszymi sokami utrzymujemy cudzych ludzi, a co otrzymujemy od nich w zamianę? Być może, że dobry towar? Gdzie tam!....

„Okrom tego przynosimy samym sobie uszczerbek. Jak wiadomo, sprzedają nam lichy towar po faktycznie wysokiej cenie: żydzi się na tem bogacą, a potem pieniędzmi naszymi handlują skrycie, drogą niedozwoloną i lichwą.

„Z zasądzonych za lichwę było w Galicyi od roku 1882—1886, jak statystyka wykazuje, 87.5 proc. żydów, a pomiędzy nimi 63 proc. kupców. Znaczy to, że dobrowolnie niesiony grosz ruski do żyda, staje się w jego rękach knutem, pod którym jęczy nasz chłop ruski.

„Kupując towar u tych, którzy z nas krew ssą, stajemy się współwinowajcami ciężkiej, o pomstę do nieba wołającej, krzywdy ruskiego ludu. Tak więc obowiązek ludzkości i patryotyzm nakazują nam unikać firm żydowskich i szukać kupców ruskich, tem więcej, że w zupełności zasługują oni na nasze zaufanie.

„Tylko na tem haśle: „„swój ku swemu“ “ się opierając, zdolni są Czesi, Chorwaci i inne narodowości słowiańskie utrzymać się przy narodowości. Z zasady nie jesteśmy przeciw polskim firmom, ale tylko takim, które nie obrażają uczuć narodowych ruskich, umieszczając obok polskich napisy ruskie, a inseraty w polskich i ruskich gazetach.

„Niechaj więc „„swój ku swemu“ “ będzie na teraz naszem hasłem! Kupujmy tylko u swoich, a kto politycznie i narodowo uświadomiony, niechaj o tem poucza nieoświeconych. Niechaj halicka Ruś nie kręci sama na siebie bicza!

* * *

Petersburskie „Nowoje Wremia“ poświęcają pamięci Kościuszki następujące uwagi:

„Kościuszko był pierwszy, który przed stu laty zwrócił uwagę na lud polski i wezwał go do obrony ojczyzny. Do tej pory miała tylko szlachta obowiązek walczenia za kraj i ten obowiązek uważała za swój przywilej.

„Kościuszko, powoławszy chłopów polskich do broni, wyzwolił ich ze stanu upokarzającego. W tem właśnie leży jego największa zasługa, że ludowi polskiemu powrócił godność ludzką, której go pozbawiła szlachta.

Kościuszko był pochodzenia ruskiego (!), co polskie pisma przemilczały. Brat ojca Tadeuszowego, Paweł Kościuszko był miejskim pisarzem brzeskiego województwa, był prawosławnym, a w roku 1727 odnowił cerkiew św. Mikołaja.“

* * *

„Moskiewskie Wiedomosti“ zamieszczają rozmowę młodoczeskiego posła Eima, którą miał z korespondentem rosyjskiego dziennika.

Eim skarży się, że główny organ młodoczeski „Narodni Listy“ milczą o jego wystąpieniach i listach do prasy zagranicznej, w których poseł czeski daje wyraz swoim zapatrywaniom na dzisiejszą w Czechach sytuacyę. Dalej mówił Eim o „Omładynie“ w sposób taki: Stronnictwo młodoczeskie znajduje się w walce z rządem. Dąży ono do tego, aby wszystkie połączyć siły, wszystkich zgromadzić Czechów, którzy w tej walce chcą stronnictwo młodoczeskie popierać. Interesy osobiste i podrzędne muszą na plan drugi ustąpić. Dawna walka stronnictw wśród Czechów samych powinna zniknąć. I w życiu politycznem jest radość nad jednym grzesznikiem nawróconym większą, aniżeli nad 99 sprawiedliwymi. Stronnictwo młodoczeskie nie może w tych zapasach odsuwać krewką młodzież czeską. Ale nie może też dopuścić, aby wzięła górę. Zabiegów lewego skrzydła radykalnego nie można popierać, ale ta okoliczność nie powinna przeszkadzać dalszemu rozwojowi walki. Stronnictwo młodoczeskie nie może dopuścić, aby w jego program narodowy wniesiono tendencye socyalno-demokratyczne. A o to głównie stara się radykalne stronnictwo nasze i jego przywódzcy. Stronnictwo nasze nie ma nic przeciw temu, że młodzież zajmuje się kwestyami polityki socyalnej, tylko tego żąda, aby nie przyjmowała za monetę brzęczącą wszystkiego, czego socyalizm uczy i nie nazywała każdego, kto ma pewne wątpliwości, iż jest wstecznikiem. Między stronnictwem naszem a tem skrzydłem radykalnem jest stosunek możliwy tylko na zasadzie karności we wszystkich kwestyach narodowościowych. Nie zechce do tego owe skrzydło skrajne się zastosować, natenczas — divorçons — rozejdźmy się! Formalnie i wedle nazwy stoją jeszcze radykałowie na programie młodoczechów, ale nie można dopuścić, aby karność została osłabioną, aby program został skażony i przemieniony w socyalno-demokratyczny, który jest negacyą naszego ducha i idei słowiańskiej,

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Polka w ciągu bieżącego stulecia.

II.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa.

Czytanie dzieł pani Tańskiej dzisiaj już szczególniejszą przyjemnością nazwać się nie może. Wszystko co jest w nich słusznem, rozumnem, zdrowem — obecnie do oklepanek i komunałów się zalicza, to zaś co stanowi ich oryginalną, charakterystyczną cechę, trąci taką pleśnią archaiczną, że wprost niesmak obudza. Krzywdę jednak czynilibyśmy autorce, gdybyśmy ją ze stanowiska dzisiejszych pojęć oceniać mieli. Wszystkie rzeczy cokolwiek dawniejsze, mówi Taine, odpowiadają uczuciom, których już nie mamy“, dla tego też wydając sąd o nich, musimy się koniecznie cofnąć myślą do epoki, w której powstały, i widzieć je na tle współczesnych warunków życiowych. W ten sposób rozpatrując działalność Tańskiej, należy jej przyznać wielkie zasługi, a przedewszystkiem liczyć się z ogromnym wpływem jaki jej pisma i poglądy na całe pokolenie współczesnych kobiet wywierały.

Klementyna z Tańskich Hofmanowa pisała w duchu czasu i epoki, i była wcieleniem lepszych, szlachetniejszych, zdrowszych, swego społeczeństwa dążeń.

Nie znaczy to bynajmniej, aby należała do owych lotnych i śmiałych duchów, które swój wiek wyprzedzając, nowych dróg dla ludzkości szukają; takiej roli ani by była chciała, ani mogła odegrać; po prostu nie była ulepioną z tej gliny, z której się rodzą bohaterowie, wieszcze i prorocy. Wpływ jej nie był rewolucyjnym, nie wywołał żadnego przewrotu, był jednak ważną zbawienną reformą, i odpowiadał najpilniejszym ówczesnego społeczeństwa potrzebom. Spokojny i umiarkowany charakter reformy, niezmiernie ułatwił — jej przeprowadzenie, sprawił, że stała się ona bardzo szybko popularną i żadnej poważnej nie wzbudziła opozycyi, co więcej, zyskała gorliwe poparcie wszystkich dobrze myślących, porządnych ludzi, wszystkich powag krajowych. „Pamiątka po dobrej matce“, książka zawierająca streszczenie poglądów Tańskiej na wychowanie i stanowisko kobiety, ukazała się w 1819 r. i tak życzliwie przyjętą została, że w przeciągu dwóch lat, trzech doczekała się wydań, a młoda jej autorka, 21 lat wtedy licząca, od razu znakomitością literacką się stała. Poglądy w książeczce tej wypowiedziane nawet i wtedy, gdy wyszły w druku, zupełną nowością nie były; nie były też oryginalnym, samodzielnym autorki wynalazkiem, co zresztą bynajmniej jej zasługi nie zmniejsza. Choć nauka dowiodła, że już przed Kolumbem niejeden Europejczyk za Atlantyk się przedostał, nie przestaniemy sławnego Genueńczyka za właściwego odkrywcę Ameryki uważać, gdyż on właśnie Europie drogę do niej pokazał i wiadomość o zamorskich krainach rozgłosił. Na tejże zasadzie musimy w Tańskiej uznać istotną reformatorkę wychowania kobiet, gdyż ona właśnie głoszone współcześnie zasady w system pewien ujęła, spopularyzowała i wśród ogółu rozpowszechniła. Sama w dziecinnych latach po cudzoziemsku wychowywana, w późniejszej dobie młodości, kształcąc się pod kierunkiem ludzi światłych i gorących patryotów, odrzucała żywo wadliwość takiego systemu, otrząsnęła się z jego wpływów i stała się najgorliwszą propagatorką zbawiennej reakcyi. Ta ostatnia polegała przedewszystkiem na wykorzenieniu najbardziej rażących błędów współczesnego wychowania i cudzoziemszczyzny, fałszywego sentymentalizmu, próżności i lekkomyślności. Walkę z temi rozpowszechnionemi wadami prowadziła Tańska tem gorliwiej, iż jej charakter, temperament, rodzaj umysłu najzupełniej się do niej nadawał. Natura to była przedewszystkiem trzeźwa i umiarkowana, wolna od wszelkich wybuchów i wszelkiej krańcowości, serdeczna bez egzaltacyi, rozsądna lecz nie głęboka, pełna prostoty, spokoju, pewności siebie, a jednak nie mająca bynajmniej wybitnego zamiłowania do niezależności i samodzielności, ztąd też wcale nie buntownicza.

Wszystkie rady, jakich Tańska kobietom udziela, tchną właśnie tą prostotą, umiarkowaniem i rozsądkiem, które główne tło jej charakteru stanowiły „Dobra matka“ dająca córce swej Amelji przestrogi na drogę życia, wszystkie swe nieszczęścia, cierpienia i śmierć nawet przypisuje nadmiernej czułości, przedewszystkiem więc dziecko swe przed tą wadą ustrzedz pragnie. „Niech żadne twe uczucie, żadne przywiązanie nie przechodzi granić umiarkowania i rozsądku“. Unikanie jednak czułości zbytecznej nie powinno do zupełnej oschłości uczuć prowadzić. Przeciwnie: „Serca czułego, rozsądku, cnót domowych — powołanie kobiety wymaga, mówi Tańska, a zdanie to stanowi jakoby streszczenie jej pedagogicznego programu. Dzisiaj razić on nas może swym bardzo ograniczonym

zakresem, pamiętajmy jednak, że w epoce, w której słowa te pisano, ani rozsądek, ani cnoty domowe do bardzo powszednich objawów się nie zaliczały, a odwołać kobietę od zabaw, by wezwać ją do spełnienia codziennych domowych obowiązków, wyjąć jej z ręki sentymentalne romanse, a do poważniejszej lektury zachęcić, było czynem obywatelskim i na pochwałę zasługującym. Tańska zresztą uznaje najzupełniej nietylko zasadniczą różnicę między przeznaczeniem mężczyzny a kobiety, lecz nawet niższość niezaprzeczoną tej ostatniej. Kobiety jej zdaniem stworzone są do ulegania i posłuszeństwa; sztuki panowania nie znają, i gdy im się czasem pora rządzenia nadarzy, zawsze jej na złe używają". Czy o charakterze, czy o naukach i zdolnościach umysłowych mówi, zawsze z wielkiem namaszczeniem, z naiwną wiarą i pokorą wyższość mężczyzny głosi, ostrzegając kobiety, aby w żadnym względzie o zrównaniu się z silną połową rodzaju ludzkiego nie marzyły. Dzięki temu przeświadczeniu o potędze panów stworzenia, radzi przyzwyczajać kobietę do uległości, skromności, posłuszeństwa, pokory przechodzącej czasem granice naszymi obecnymi poglądami moralnemi zakreślone. Razi nas naprzykład w teoryi Tańskiej zdanie następujące: „Niepodobna przyzwyczajać córek do samodzielnego rozporządzania pieniędzmi, kiedy później poszedłszy za mąż, nie będą miały do tego prawa. A powtóre córki mając zabezpieczony byt nie będą miały owej pokory, owej uległości, owego nadskakiwania, które później niemal każdej kobiecie w podobnych stosunkach z mężem koniecznie potrzebne będą."

Jakkolwiek jednak stanowczo drugorzędną rolę kobiecie wyznacza, jednak bynajmniej upośledzoną jej nie widzi, owszem upatruje w jej przeznaczeniu wiele stron pięknych i powabnych, i dziwi się wprost tym, które z niego zadowolnione nie są. Mimo całej niższości kobiety, przyznaje jej więcej niż mężczyźnie uczucia i widzi w niej jakoby wcielenie pierwiastku piękna w społeczeństwie. Ztąd to nazywa nieraz kobietę ozdobą towarzystwa, a dla niej znów nauki — talenty, cnoty nawet posiadają wartość ozdoby. Nie znaczy to jednak, aby Tańska jedynie zewnętrzne zalety w kobietach widzieć pragnęła: wprawdzie wynajdywanie nowych i niewinnych sposobów podobania się każdemu stawia jako ważną część systemu naukowego dla kobiety, w pierwszym rzędzie jednak chodzi jej o „uszczęśliwienie małżonka, wychowanie dobre dziatek." Z uznania bezwzględnej niższości kobiety, wiecznej niedojrzałości umysłowej, a wreszcie jej drugorzędnej roli i skromnego przeznaczenia polegającego na tem, aby „więcej znaczyć przez drugich, niż przez siebie, nie wypatrywać nowej drogi, ale iść ubitą" i t. d. wynikają wszelkie rady, wskazówki i poglądy. Epokę współczesną sobie uważa jako niezmiernie pomyślną i życzliwą dla kobiet, twierdzi, że nigdy wychowanie dziewcząt i los kobiet tyle rozumów nie trudniły, i nigdy do wyższego światła, do używania większych swobód nie były dopuszczane." Wobec tego pojąć nie może tych kobiet, które więcej jeszcze pragnąć i żądać się ośmielają, zachowuje się też względem nich bardzo nieufnie, niechętnie, nieraz nawet wprost z oburzeniem się o nich odzywa, a jakkolwiek przyznaje, że im wyżej są usposobione, tem więcej utyskują nad losem swoim, to jednak w innem miejscu zapytuje: Jestże w ich liczbie choć jedna żona bez zarzutu i skazy, jedna dobra i szczęśliwa matka, jedna prawdziwa chrześcijanka? i naturalnie na zapytanie to odpowiada przecząco.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

BADANIA NAUKOWE.

ROZWOJ I MORALNOŚĆ

(Dokończenie.)

Filozofia hinduska zajęła się nader wcześnie analizą powyżej przytoczonych zagadnień. W najwcześniejszej już swojej epoce stała się wyznawczynią zasady ewolucyjnej. Jednocześnie zdjęła ona ze świata winę za to, że na tym naszym ludzkim padole płaczu nie dzieje się zadość wymaganiom sprawiedliwości. Jeżeli ziemia pełną jest krzywdy i płaczu, jeżeli na głowę cnotliwego walą się nieszczęścia, to wszystkie te zjawiska są zgoła naturalnemi ogniwami nieskończonego łańcucha przyczynowości i słusznem wymierzeniem sprawiedliwości. Filozofia hinduska znalazła tego rodzaju pomost ponad faktami życia w teoryi przesiedlania się dusz. Każdy odbiera nagrodę lub karę za to, co posiadał w jednem z uprzednich swoich wcieleń ziemskich: a zatem rozkład szczęścia lub nieszczęścia był tam jakby algebraiczną sumą różnych wielkości dodatnich i ujemnych, które nagromadziły się z biegiem czasu; przytem nigdy nie robiono ostatecznego rachunku. Późniejsi mędrcy jeszcze bardziej udoskonalili naukę o przesiedlaniu się dusz i poniekąd zbliżyli się do tych pojęć, jakie tkwią w podstawie naszej teoryi dziedziczności. Każdy z nas nosi w sobie znamię, przekazane przez rodziców i nawet odleglejszych przodków, rysy charakteru — tej moralnej jaźni — przechodzą z pokolenia na pokolenie, tak, iż możemy powiedzieć, że „charakter" podlega zasadzie przesiedlania się. Hinduska „karma" w zupełności odpowiada „charakterowi", tylko, że nadano jej byt osobisty, istniejący do pewnego stopnia niezależnie od ciała, niby coś w rodzaju dwojników, jakie pan Ochorowicz i inni wprowadzają celem naukowego wytłomaczenia realności zjawisk medyumistycznych. Jedyna różnica poważniejsza, istniejąca pomiędzy naszą dziedzicznością, a teoryą „karmy", jest to mianowicie, że hindus nie wątpił, iż „karma" w każdem swojem indywidualnem wcieleniu może nabywać nowych właściwości, wówczas, kiedy kwestya cech nabytych ulega w nowoczesnej biologii bardzo poważnym zarzutom. W liczbie wpływów, którym poddawała się „karma", znajduje się zdaniem filozofii hinduskiej wola, mogąca powstrzymać jej narowy i nawet zgoła je zniszczyć. W tym razie znowu analogia z zakresu naszych naukowych poglądów dostarcza dobrego wyjaśnienia dla doktryn filozofii hinduskiej. Możemy nieoględnem postępowaniem zrujnować swoje ciało i przekazać potomkom chorobę nerwową, która odbije się na charakterze dziesiątego jeszcze pokolenia: możemy też, jeżeli dojdziemy do przeświadczenia, że nasz „charakter" nie wart jest przekazania, zniszczyć go zupełnie, nie dając życia nowej generacyi, któraby wytworzyła ciało dla tej zjawiskowej kategoryi. Otóż hindus sądził, że jest w jego mocy podobnie oddziaływać na „karmę" i nawet zniszczyć ją zupełnie, ażeby więcej nie powracała na ziemię. Zasady te oddawna zostały wypowiedziane przez filozofię hinduską, ale póki barbarzyństwo jeszcze mocno trzymało się, życie dostarczało zbyt sporo uciech i nie pchało do ostatecznych wniosków. Istniała w jej rozumieniu wciąż zmienna, lecz niezniszczalna zasada „bramy" tj. substancyi, istniała inna kategorya, która, na podkładzie tamtej, powoływała do życia świat podmiotowy — kategorya „atuman". Póki więc życie płynęło pogodnem korytem, hindus godził się z jedną i drugą kategoryą, ale kiedy cywilizacya uczyniła nerwy delikatniejszymi, cierpienie zaś doraźniejszem, wtedy filozof jął sarkać przeciwko zasadom wszechświata. Przyznawał on sprawiedliwość w potoku rozwojowym, widział w swoich cierpieniach zasłużone następstwo czynów, ale dążył do wymknięcia się z tego wszystkiego, oddania „bramie" materyalnej substancyi i zniszczenia „karmy". Poczyna się epoka ascetyzmu, dążącego do wyrzeczenia się wszystkich rządz ciała. Pierwiastkowo idzie głównie o to, ażeby zwolnić „karmę" w przyszłych wcieleniach od kary; później zaś dochodzi do tego, iż hindus chce zabić ją samą — rozpoczyna się epoka negacyi związków społecznych, przedewszystkiem zaś małżeństwa. Wreszcie ostatnie ogniwo filozofia hinduska znajduje w teoryi Buddy, tego jej Berkeleya a jednocześnie Schopenhauera. Świat realny nie istnieje, jest tylko snem naszej jaźni; co więcej, sama jaźń jest także snem, który przestanie istnieć, jeżeli zechcemy. Wtedy pogrążamy się w Nirwanie. Ascetyzm jest niepotrzebny, ponieważ zabić można „karmę" prostem chceniem, wolą nicości. Jest to Nirwana!

Grecka filozofia ewolucyjna, pomimo, że udała się innemi drogami, doszła ostatecznie do podobnego rezultatu. Zresztą zdaje się, że Huxley ponaciągał fakty. Posłuchajmy jego wywodów. Nauka Heraklita, że żywioł ognia znajduje się w ciągłej zmienności, budując z siebie i łamiąc światy, niby dziecko — zabawkę, nauka ta długo pozostawała bezpłodną. Filozofia zwróciła się w innym kierunku, którego typowym przedstawicielem jest Sokrates, twierdzący, że wszystkie badania świata fizycznego są bezowocne i do niczego nie doprowadzą i, że człowiek skutecznie może się zajmować tylko jednem, mianowicie jak wyglądać winno życie, zgodne z zasadami moralności. Dopiero stoicy odgrzebali zapomniany ewolucyonizm, zmieniając go w kierunku teizmu. Podstawowa zasada wszechświata, ów ogień Heraklita, został zastąpiony u stoików przez najwyższą duszę, posiadającą nieograniczoną władzę i nieskończony rozum, oraz dobroć. Lecz cóż zrobić z faktami, świadczącymi, że złe jest wszędzie rozlane, i jak je pogodzić z teoryą wszechwielkiej dobroci? Stoicy nie zawahali się z odpowiedzią — jeżeli istnieje złe, widocznie jest niezbędne dla naszego szczęścia, tylko, że naszym płytkim rozumem nie możemy dojrzeć w swojem cierpieniu dodatniej strony. Nadto wynaleźli inną zasadę: słuchaj głosu „natury" — zaznaczamy, iż odróżniali nasze rządze jako głos zwykłej natury, poziomej, od norm umysłu i etyki, jako wyższej natury, którą właśnie mieli na widoku, kiedy postawili swoją zasadę. To skłoniło ich do zupełnego zerwania ze światem potrzeb i namiętności ludzkich. „Działać według głosów natury" zaczęło naprzód znaczyć „chcieć działać", później zaś doprowadziło do zupełnej apatyi, jako zasady cnotliwego życia.

Nirwana u hindusów, apatya u greków — oto ostatnie słowa rozwoju filozoficznego, chcącego rozwiązać sprawę złego w świecie ludzkim na podstawie ewolucyonizmu materyalistycznego. Nasza doba także z podobnych założeń puszcza się w drogę. Na mocy analogii powstaje w umyśle naszym zagadnienie, czy my też winniśmy przebyć tę całą drogę i w splocie nieco odmiennych, lecz w każdym razie pokrewnych ogniw dojść do owego ostatecznego wniosku, że niebyt i bezczynność z bezwolą są pożądanymi portami schronienia dla skołatanej jaźni ludzkiej? Kwestya rozstrzygnięcia stosunku złego do dobrego, stanowiąca podstawę rozwoju w kierunku optymizmu lub pesymizmu, posługuje się nie rozumem, lecz uczuciem. Nie należy zatem szukać drogoskazów w tej dziedzinie. Huxley sądzi, że ocalenie tkwi w naszem zapatrywaniu na przyrodę. Nie jest ona sprawiedliwą, jak według hindusów, ani wszechdobrą, jak dowodzili stoicy. Przeciwnie, dzisiejszy ewolucyonizm widzi w niej istność ślepą, bezmyślną, ani dobrą lub złą, ani sprawiedliwą lub niesprawiedliwą. Kategorye te są dopiero wytworem pożycia społecznego. Nasza filozofia zdziera z kosmosu wszelką ułudę a wszystkie owoce, jakie otrzymaliśmy, pochodzą z tego, że wstępujemy w nim w walkę i wydzieramy mu jedną dziedzinę po drugiej, zastępując jego bezcelowość naszymi celami. W takiem pojmowaniu nie ma miejsca na apatyę i nirwanę powszechną, ponieważ zawsze żywić będziemy nadzieję, że kiedyś wywalczymy lepsze jutro.

Praca Huxleya obudziła, jakeśmy nadmienili, mnóstwo polemik. Nie wdajemy się w ich istotę, dotyczą bowiem szczegółów drugorzędnych, jak np. przeciwstawiania świata ludzkiego kosmosowi, o którem wspomnieliśmy w ostatnim ustępie.

K. R. Żywicki.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Kronika krakowska.

24go kwietnia.

(Sprostowanie. Stary cech. Zakończenie nieporozumień rzeszowskich. Kurtyna Siemiradskiego. Drobiazgi.)

Nie należy do rzeczy przyjemnych wszelkie odwoływanie, a jednak muszę od niego rozpocząć moją korespondencyę. W „N. Reformie“ pojawił się przed paru tygodniami obszerny artykuł o gospodarce fundacyi „Domu nieuleczalnych imienia Helclów.“ Ponieważ artykuł ten przytaczał cyfry i daty, stąd też polegając na nich poświęciłem w korespondencyi mojej ustęp tyczący się rzeczonej fundacyi. Na pogłoski wciąż o niej krążące po Krakowie nie zwracałem uwagi, ale gdy rzecz została poruszoną w dzienniku poważnym i miała wszelkie pozory sprawozdania opartego na rachunkach i aktach, nie mogłem przypuszczać, że przedstawienie jej jest wynikiem fantazyi, czy mistyfikacyą. Ostrożność zachowałem o tyle, że gdzie były przypuszczalne pozycye wydatków, podniosłem je, zmniejszając przez to poniekąd zarzuty, parę zaś zarzutów całkiem opuściłem. Okazuje się, że i ta ostrożność była za małą, że dopuściłem się zbytecznej wiary w słowo drukowane. Dr. Stanisław Tomkowicz, kurator fundacyi z ramienia Wydziału krajowego, napisał bowiem sprostowanie, według którego wszystkie daty i cyfry artykułu „Nowej Reformy“ są z gruntu nieprawdziwe. Zakład pobiera rocznie nie 65.000 lecz nie całe 35.000 zlr. Ubogich na etacie znajduje się nie 55, lecz 90. Zakonnic razem z personalem służbowym jest nie 59 osób, lecz 46. Stosownie do tego inaczej przedstawiają się nietylko cyfry dochodów ale i wydatków. P. Kurator oświadcza w końcu, iż zakład nie jest wstanie robić żadnych oszczędności, a więc też nie może, choćby nawet chciał, odsyłać przewyżki do Francyi.

Wypełniwszy officium boni viri przechodzę do spraw bieżących. Ponieważ jednak ubiegły tydzień nie dostarcza odpowiedniego materyału, pozwolą czytelnicy, że ich zaprowadzę do cechu rzeźnickiego. Czynię to przekonany, iż obowiązkiem korespondenta jest nietylko notować dzieje dni bieżących, ale zwracać uwagę na pewne charakterystyczne „osobliwości“ miasta. A cech rzeźnicki w Krakowie jest nią niezawodnie. Jakiej ta jedna z najstarszych mieszczańskich instytucyi zażywa powagi, dość wspomnieć „że odwiedzają ją takie osobistości jak JEm. kardynał Dunajewski i namiestnik Badeni. Dawniejsi prezydenci: Zyblikiewicz i Weigel, a zwłaszcza ten pierwszy, utrzymywali zawsze kontakt z cechem rzeźnickim, z czem im często było bardzo dobrze przy wyborach. Na uroczystych zebraniach cechu oprócz wymienionych mogłeś spotkać najwybitniejsze osobistości w mieście, jako to Artura i Andrzeja Potockich, posłów Chrzanowskiego, Sokołowskiego, hr. Wodzickiego, Romanowicza. Ten ostatni dużo cechowi zawdzięczał w czasie ubiegania się o wpływ wśród ludności krakowskiej. Również duchowieństwo i dziennikarstwo bywają gośćmi cechu.

To wyjątkowe stanowisko nadała cechowi rzeźnickiemu, równie jak Towarzystwu strzeleckiemu, przedewszystkiem moc tradycyi. Kiedy inne cechy porozpadały się, poginęły „Sławetny cech rzeźników i masarzy na Kotłowie“ przetrwał wszelkie burze, chowa starannie dawne przywileje królewskie i rozporządza własnym majątkiem za dawnych czasów powstałym. Tradycye jego występują zwłaszcza podczas wyzwolin na czeladników. Obecni odnoszą wrażenie, że znajdują się w XVI lub XVII stuleciu tak jest przestrzeganem zachowanie w najdrobniejszych szczegółach wszelkich form przed wiekami przepisanych. Jest to obrazek oryginalny, istna kartka wycięta z powieści obyczajowo-historycznej. Dalszą siłą cechu jest karność również przypominająca czasy dawne: rozkaz „starszego“ jest nieodwolalny, każdy mu się poddać musi. Oprócz przywilejów przechowuje cech dawne swe pieczęcie, buławy, miecze i olbrzymie dzbany, które występują na uroczystych przyjęciach. Dzięki obecnemu starszemu p. Armółowiczowi, cech posiada dom własny z wielką salą, jedną z największych w Krakowie. Dom ten został zbudowany na „Kotłowem,“ na miejscu nadanem rzeźnikom przywilejem Zygmunta Augusta, potwierdzanym później przez jego następców. To też cech przez wdzięczność dla swych królewskich dobroczyńców umieścił świeżo w sali ładne ich portrety opatrzone tekstem na ramach, a wykonane przez pana Kraszewskiego, podług rysunków Matejki. Artysta malarz p. Tomkiewicz złożył w ofierze cechowi wykonany przez siebie portret Kościuszki. Na parterze domu mieszkają starzy rzeźnicy, niemogący już na siebie pracować i otrzymujący też kosztem cechu całe utrzymanie. Kilka razy do roku sala napełnia się członkami cechu, ich rodzinami i zaproszonymi gośćmi. Na wieczory takie składają się pouczające odczyty, deklamacye, produkcye muzykalne, a wypowiadane na nich mowy i toasty nie przechodzą często bez wpływu na stosunki miejscowe. Uroczyście zwłaszcza są obchodzone rocznice narodowe i wspólne „święcone.“ Tegoroczne „święcone“ połączone było z obchodem rocznicy kościuszkowskiej, więc miał odczyt o Kościuszce p. Danielak, a panna Paszkowska, wyborna deklamatorka, wygłosiła poemat Lenartowicza „Bitwa racławicka.“ Poznańscy rzeźnicy nadesłali telegram.

Przypatrując się tej „osobliwości“ Krakowa, jaką jest cech rzeźnicki, mimowoli nasuwa się zapytanie: czy nie przez upadek podobnych organizacyi nastąpił zarazem upadek krakowskiego mieszczaństwa, na co się tak wogóle skarżymy. Stowarzyszenia zawodowe, powołane dziś sztucznie do życia przez ustawy państwowe nie wydają prawie żadnych rezultatów, bo brak im tradycyi, łączności i karności. Cechy tak pojęte, jak ten, o którym mowa, mogłyby wiele wpłynąć na rozwiązanie w pewnym kierunku kwestyi socyalnej, bo zmniejszyłyby liczbę „niezadowolonych,“ a silną swą organizacyą podniosłyby rzemiosła i rękodzieła.

Ponieważ w jednej z poprzednich korespondencyj poruszyłem sprawę zajść w Rzeszowie, podczas uroczystości kościuszkowskiej, wypada więc mi zaznaczyć, iż władza wojskowa otrzymała odpowiednią naganę za niewłaściwe zachowanie się. Bezpośredniej nagany udzieliła komenda korpusu, która według urzędowej „Gazety lwowskiej“ przedsięwzięła wszelkie środki, aby na przyszłość podobne przekroczenia z zakresu działania władz i organów wojskowych nie mogły mieć miejsca.“ Pośrednią naganę wypowiedział namiestnik hr. Badeni w przemówieniu do deputacyi m. Rzeszowa, zaznaczając, iż jakkolwiek w zajściach tych i ludność cywilna dała się porwać do ubolewania godnych wybryków, to wszakże władza wojskowa przekroczyła swój zakres działania, a sposób, w jaki odniosła się w swych pismach do magistratu rzeszowskiego, był „niewłaściwy.“ Opowiadają przytem (za co bynajmniej nie ręczę), iż na zapytanie prezesa ministrów ks. Windischgrätza jakie czynniki najwięcej zawiniły w zajściach rzeszowskich odpowiedział hr. Badeni, iż wina zarówno obciąża wszystkie trzy władze, a to z tej przyczyny, iż jenerał komenderujący jest zu grob, starosta zu fein, a burmistrz zu dumm.

W Krakowie wypadkiem dnia ubiegłego tygodnia było jedynie pokazanie „narodowi“ nowej kurtyny pędzla Siemiradzkiego. Ma ona 11¼ metrów szerokości, a 9 i pół metrów wysokości. Jestto w całem znaczeniu tego słowa wspaniałe dzieło sztuki, zupełnie skończony olbrzymi obraz, gdyż Siemiradzki nie chciał korzystać z dekoracyjnego, szkicowego, obliczonego na odległość od widzów sposobu malowania. Środek kurtyny przedstawia exedrę starorzymską, zbudowaną z marmurów, alabastrów, obrzuconą złotem, bronzem i mozaiką. Na wzniesionym wśród niej tronie Natchnienie kojarzy Piękno z Prawdą; do Piękna przytula się Miłość, jakby była świadkiem tej pięknej pary. Na dole tej środkowej części Komedya przygląda się z uśmiechem uciesznym figurkom, któremi potrząsa przed nią trefniś. Po prawej stronie kurtyny widzimy Duszę (Psyche) uwalniającą się z więzów Zmysłowości i usiłującą wraz z muzyką i Śpiewem wznieść się ku jasnym niebios błękitom; w głębi młodzież przy dźwięku tamburynów otacza w tańcu posąg Terpsychory. Z lewej strony przed postacią Tragedyi roztacza się obraz niedoli i zbrodni. Widma i Furye uosabiające Wyrzuty sumienia ścigają Morderstwo i Miłość występną. Eros płacze nad urną, na której widnieje napis: Cordis cineri pax. W głębi u stóp Sfinxa pierwiastki Dobrego i Złego walczą o panowanie nad światem. Cała kompozycya zachwyca przedewszystkiem świetnością kolorytu. Główne postacie, po części nawpół lub prawie całkiem obnażone, odznaczają się przepyszną karnacyą, w czem tak zawsze celował twórca „Świeczników chrześcijaństwa.“ I druga jego specyalność, martwa natura, występuje w całym majestacie. Jeżeli dodamy jeszcze, że artysta zachował zwykłą sobie poprawność rysunku, świetnie dobrał akcesorya i doskonale opracował wszystkie szczegóły, to łatwo każdy pojmie jakiem arcydziełem w swoim rodzaju jest kurtyna Siemiradzkiego. Są nawet tacy, którzy w kurtynie widzą najwyższy wyraz jego talentu. Może mają i słuszność, — w każdym razie żaden teatr europejski podobną zasłoną sceny poszczycić się nie może.

A teraz jak zwykle kilka drobnych wiadomości.

Ks. W. Smoczyński urządza w końcu Maja wycieczkę do Rzymu z okazyi uroczystego poświęcenia kaplicy, w której spoczywają zwłoki Piusa IX. — Prof. Cybulski ogłosił w fejletonie „Czasu“ sprawozdanie z lekarskiego kongresu międzynarodowego odbytego w Rzymie. — Prof. Tretiak umieścił w „Czasie“ sprawozdanie z ciekawego dzieła Skabiczewskiego „O dziejach rosyjskiej cenzury.“ — OO. Paulini wzywają do składki na restauracyę sadzawki na Skałce, do której przywiązane są podania o św. Stanisławie. — „Związek literacki“ obchodził jubileusz Z. Sarneckiego; przemawiali na nim M. Zdziechowski, Prof. Tretiak, dr. Koneczny, A. Bełcikowski, itd. — W „Związku literackim“ miał p. J. Kotarbiński pogadankę o sztuce aktorskiej. — Płyną dość liczne składki na pogorzelców Nowego Sącza; miasto to w połowie prawie zgorzało: pożar zniszczył między innemi kościół i klasztor Jezuitów, kościół ewangelicki, gimnazyum i stary ratusz, oraz archiwum, w którem przechowywały się stare przywileje i cenne dawne zabytki. — Narodziły się dwa nowe pisma: „Polski Filatelista“ poświęcony „umiejętności“ zbierania marek i „Głos prawdy,“ który postanowił raz na zawsze uporać się z biedą, dręczącą społeczeństwo. — K. Bartoszewicz miał na dochód „Szkoły ludowej“ odczyt, w którym przedstawił typ magnatki polskiej z końca zeszłego i początku bieżącego wieku. — Komitet Muzeum Matejki rozporządza w tej chwili kwotą 20.000 zlr. — Posąg Mickiewicza został już podobno wysłany z Rzymu do Krakowa.

K. Bartoszewicz.

Kronika lwowska

Lwów 22go Kwietnia.

(Echa Kościuszkowskiej rocznicy. Wiece młodzieży. Stronnictwo socyalno-demokratyczne a ludowcy. Święcenie niedzieli.)

Tyle u nas namnożyło się spraw najrozmaitszych, czekających na pióro kronikarza, że w wielkim naprawdę jestem kłopocie, od czegoby tę pierwszą z moich korespondencyj zacząć. Nie pozostaje mi nic innego, jak narazić się na dopisek redakcyjny „spóźniona“ (obiecuję poprawę na przyszłość) i zrekapitulować najgłówniejsze objawy naszego życia w bieżącym miesiącu. A więc nasamprzód uroczystość Kościuszkowska, której echa w kształcie nieskończonego węża monotonnych sprawozdań, przewijających się po tutejszych dziennikach, dotychczas nie przebrzmiały.

Panuje w naszej ukochanej Galicyi powszechne mniemanie, że Kraków umie wspaniale sprawiać pogrzeby, Lwów zaś znakomicie urządzać obchody narodowe. Mniemanie to sprawdziło się i dzisiaj — z tem tylko zastrzeżeniem, że stolica podwawelska, gdzie na miejscu dawnych Jagiellonów panuje p. Friedlein do spółki z dyrektorem policyi, p. Korotkiewiczem, pogrzebała,

a przynajmniej pogrzebać pragnęła, to czego grzebać nie należało, mianowicie obchód racławickiej rocznicy, która znowu u nas wypadła wcale przyzwoicie. Rano oznajmiła powitanie dnia pamiątkowego pobudka kapeli miejskiej, „Harmonii,“ przesuwającej się wraz z kilkutysiącznym tłumem robotników i innych patryotycznym duchem przejętych obywateli najgłówniejszemi ulicami „nadpełtwiańskiego“ grodu, udekorowanego dywanami i flagami. Przed południem pośpieszył „naród“ na nabożeństwa, odbyte w katedrze łacińskiej i ormiańskiej — nasi „bracia“ Rusini wstrzymali się od udziału, pomimo słynnych „manipulacyj ugodowych,“ reprezentowanych przez metropolitę Sembratowicza, — dalej u Dominikanów, w kościele ewangielickim i w bóżnicy żydów postępowych. Po nabożeństwie, o 12tej zgromadzono się w wielkiej sali ratuszowej, gdzie wobec „śmietanki“ społeczeństwa w mundurach sokolich, w szlacheckich kontuszach, w skromnych czamarach i międzynarodowych frakach piękną rzeczywiście mowę wygłosił hr. Wojciech Dzieduszycki. W ciągu popołudnia przyjmowano w lokalu tow. rzemieśln. „Skała“ delegacye chłopskie, przybyłe z najbliższych okolic Lwowa, w których, jak wiadomo, pełno jest kolonij polskich. Wieczorem podziwialiśmy rzęsistą iluminacyą miasta (odznaczała się przedewszystkiem „Gal. Kasa Oszczędności),“ a następnie udaliśmy się do teatru, na galowe przedstawienie „Kościuszki pod Racławicami,“ na którem nie brakło i wieśniaków.

Taką była treść owego dnia, która na ogóle tutejszym podniośle wywarła wrażenie.

Atoli w tej akordami potężnego hymnu racławickiego za serce chwytającej symfonii nie obyło się jednak bez zgrzytliwych dysonansów. Nie zakłócono wprawdzie spokoju, gdyż straż obywatelska, którą dowodził naczelny redaktor „Kuryera Lwowskiego,“ Henryk Rewakowicz, umiała wszędzie należyty utrzymać porządek; nie wytłuczono ani jednej szyby, nie poturbowano nikogo, nie wygrażano się bombami i tym podobnemi niebezpiecznemi narzędziami instytucyom bezpieczeństwa, pomimo to zdziwiła się niepomiernie nasza publiczność, ujrzawszy wieczorem patrolujące po mieście oddziały wojska. Wystąpienie siły zbrojnej, która zwartym otoczyła kordonem znajdujące się niemal obok siebie rezydencye arcybiskupa łacińskiego, ks. Morawskiego i namiestnika i konsula rosyjskiego, p. Pusztoszkina, spowodował były urzędnik austryackiej ck. dyrekcyi skarbowej, a dzisiaj pierwszy na Wschodnią Galicyę dostojnik rzymskiego kościoła, arcybiskup Seweryn Morawski. Mąż ten nietylko, że niechciał, mimo próźb Komitetu, odprawić nabożeństwa, ale nawet nie pozwolił duchowieństwu katedralnemu wygłosić kazania. Księży katolickich zastąpili sua sponte pastor Kubaczko i rabin dr. Caro. Krążyła w dzień uroczystości odpowiedź po mieście, jaką Wojciech Dzieduszycki dał arcybiskupowi. Będąc na czele delegacyi u Jego Excellencyi, a nie mogąc go uprosić, aby obecnością swoją uświetnił nabożeństwo i któremu z podległych mu duchownych zezwolił na wygłoszenie okolicznościowej mowy, pocałował go Dzieduszycki w rękę, mówiąc: „A jednak mam nadzieję, że Pan Bóg waszą przewielebność oświeci.“

Niektórzy starają się uniewinnić ks. Morawskiego właściwym mu ascetyzmem, przytaczając fakt, nie wiem o ile prawdziwy, na dowód, że nie jest on tak bardzo „lojalnym,“ jakby się zdawało, a tylko taką ma naturę, że po za Rzymem niczego absolutnie nie widzi — fakt, iż ze względów kościelnych, a wbrew życzeniom władz politycznych czy też dworu nie chciał ongi odprawić nabożeństwa za duszę arcyksięcia Rudolfa. Tej „stałości przekonań“ ma on podobno do „zawdzięczenia,“ że nie doszła go kardynalska purpura. Nie wiem, o ile to wszystko na rzeczywistych oparte podstawach, wiem natomiast — a zenmą wiedzą to wszyscy inni — że taką samą skrupulatnością w rzeczach religijnych odznacza się tutejszy arcybiskup ormiański, ks. Issakowicz, a ta skrupulatność nie przeszkadza mu jednak być czującem wraz z ogółem społeczeństwa obywatelem. Ze względów delikatności wobec swego „kolegi“ nie wypowiedział wprawdzie ks. Issakowicz, posiadający zasłużoną sławę pierwszorzędnego mówcy, żadnego kazania, sam jednak w otoczeniu całej kapituły solenne odprawił nabożeństwo, a potem, jedyny z książąt Kościoła, zjawił się na zgromadzeniu w ratuszu.

Społeczeństwo tutejsze umie uczcić tego dzielnego patryotę i prawdziwego chrześcijanina, a czci swojej właśnie w tych dniach namacalny daje dowód, składając hojny, jak na nasze stosunki, grosz na dar honorowy dla niego. W kołach, które zainicyonowały składkę, pokutowała przez pewien czas dziwaczna myśl kupienia ks. Issakowiczowi powozu i czwórki (widać z tego, że koła te nie należą wcale do „przewrotowych,“ ale „wygodnym“ zachowawczym hołdują zapatrywaniom). Zamiar ten naraziłby jednak ks. arcybiskupa na dotkliwe straty. Wiadomo, że dochody tego księcia Kościoła nietylko nie są książęce, ale nie mogą się nawet równać z intratami porządnego, wioskowego szlachcica. Około pięciu tysięcy rocznej pensyi nie wystarczy we Lwowie, gdzie niesłychana panuje drożyzna, na utrzymanie stajni, koni i stangreta, zwłaszcza, że ks. Issakowicz zaledwie cząstkę na własne obraca dochody, zużywając resztę na spełnianie szlachetnych, miłosiernych uczynków. Wszakże znanem jest u nas, że zacny ten dostojnik posiada siostrę, która spełnia rolę wywiadowczyni, donoszącej mu, gdzie największa panuje nędza i gdzie pomoc jest najniezbędniejszą. Dla ks. Issakowicza byłby powóz w tych warunkach istotnym ciężarem — woli on sobie jako prawdziwy sługa boży, chodzić pieszo, albo w razie nagłej potrzeby jeździć najętą jednokonką.

Widocznie świeżym powiewem wiosny, prześliczną darzącej nas pogodą, rozbudzone umysły sławetnych Lwowian, u pełnym znajdują się wrzątku. Ostatniej zwłaszcza niedzieli 15 bm. było w rozłożonej u stóp „Wysokiego Zamku“ stolicy bardzo „gorąco“, a sprawozdawcy dziennikarscy, osobliwie nie mający za co opłacać dorożek, wyciągali nogi jak najęci, aby obecnością swoją „zaszczycić“ zgromadz nia publiczne. Rzecz prosta, że obowiązkiem kronikarza jest wyszczególnić tylko te, które dla waszej publiczności szerszy — mówiąc stylem reporterskim — przedstawiają interes. A więc przedewszystkiem też wiec młodzieży, który tym razem należałoby raczej nazwać sejmikiem socyalnej demokracyi. Właściwa bowiem młodzież, grupująca się około organu swego „życie,“ a która była inicyatorką zgromadzenia, tym razem nie dopisała.

Mówię „tym razem,“ gdyż na poprzedzających wiec niedzielny zebraniach było jej dosyć pełno. Dla czytelników wielkopolskich, nie mających sposobności dokładnego śledzenia objawów naszego życia, trzeba dodać, że wzmiankowane posiedzenie było dalszym ciągiem dwóch zgromadzeń, odbytych przed kilkoma jeszcze tygodniami, a odroczonych z przyczyn następujących: pierwsze rozwiązała policya dopatrzywszy się jakichś nieformalności w zaproszeniach, a inicyatorów pozwała nawet przed kratki sądowe (o wyniku procesu doniosę niebawem); następne posiedzenie odbyło się już prawidłowo, wobec tego jednak, że licznych przedmiotów nie wyczerpano, postanowiono z powodu świąt wielkanocnych, oraz wieca ludowego w Krakowie, urządzonego z okazyi uroczystości kościuszkowskiej, zgromadzić się dopiero 15 kwietnia. I tak się też stało.

Pomiędzy postępową, lepszą, nie zgangrenową karyerowiczostwem młodzieżą naszą nie od dzisiaj zarysowały się dwa główne kierunki, socyalno-demokratyczny, który dawniejsze posiada tradycye i tzw. ludowy, mający dużo soków żywotnych i o ile sądzić można, świetniejszą przyszłość, aniżeli stronnictwo „robotnicze.“ Polem działania tej ostatniej frakcyi są dotychczas miasta, które nie będąc środowiskami ruchu fabrycznego i przemysłowego, nie mogą z natury rzeczy podatnego dla idej socyalno — demokratycznych dostarczyć elementu. Wyjątek stanowią Lwów, Kraków, a po części Przemyśl, gdzie oprócz inteligentnych przodowników znajduje się spory zastęp ludzi, zaliczających się z mniejszą lub większą świadomością do stronnictwa robotniczego o cechach socyalno-demokratycznych. Do ludu wiejskiego, który stanowi u nas, jak w ogóle w całej Polsce, głos społeczeństwa i mógłby w walce o lepszą przyszłość narodu stać się falangą rozstrzygającą, urzędowa socyalna demokracya ze swego dogmatyczno-abstrakcyjnego piedestału dotychczas nie zeszła. Zresztą źle przykrojoną bluzę oderwanego internacyonalizmu zrzucili z siebie nasi urzędowi socyalni demokraci dopiero niedawno, nie mieli więc jeszcze czasu nauczyć się rozumienia potrzeb narodu, a nietylko bardzo małej jego cząstki. Dzięki swemu „międzynarodowemu“, a właściwie antinarodowemu stanowisku nie mogli oni dotąd u ogółu społeczeństwa najmniejszego znaleźć miru, nic więc dziwnego, że dotychczasowa ich praca wydała rezultaty, które na szali naszych dorobków moralnych nie wiele chyba zaważyły.

Stosunek socyalnych demokratów galicyjskich do ludu rolnego był nietylko niesympatyczny, ale nieraz, rzec można, wstrętny i prawdziwy wyznawca teoryj Marksa i praktyki Lassalla patrzał na chłopa z tą samą pogardą, jak źle wychowany, zgłupiały arystokrata lub jego ekonom. Prowodyrowie ruchu robotniczego, słuchający rozkazów z Wiednia czy z Berlina, nieraz ślepo idący za rozmaitymi Adlerami itp., byli dotychczas tego zdania — wcale a wcale ludu naszego nie znając — że chłop tem większą będzie stanowił twierdzę wstecznictwa, im częściej będzie jadał mięso. Stosownie więc do teoryi o „proletaryzacyi mas“ starali się oni zwalczać wszelkie środki dążące do moralnego i materyalnego podniesienia ludu. Najzagorzalszy radykał, lecz nie uprzedzony, przyzna, ile dobrego zdziałały u was np. takie kółka rolnicze, jakkolwiek niejednokrotnie udział chłopów wyzyskiwany bywał w celach nieludowych. To samo da się powiedziedzieć o waszych spółkach zarobkowych, kasach zaliczkowych, o waszych czytelniach, bez których — mimo niejednego momentu, zasługującego ze stanowiska ludowego na potępienie — chłop poznański nie byłby tem, czem jest, świadomym swych praw i obowiązków obywatelem. Tymczasem a nas prowodyrowie ruchu robotniczego uważali wszystkie te środki za nędzne paliatywy, które każdy prawowierny socyalista z pogardą odepchnąć powinien. Nie można zaprzeczyć, że niejedna u nas instytucya, która wywiesiła sztandar oświecenia i podnoszenia chłopów z ich dotychczasowego poziomu, źle spełnia swoje zadanie, że niejeden — biernymy rzecz konkretnie — rządny portfelu ministeryalnego albo szefostwa sekcyjnego szlachcic używa kółek rolniczych w tym celu, ażeby obałamucić lud i połechtawszy podniebienie jego wódką i kiełbasą dostać się po jego grzbiecie do parlamentu; że dalej w czytelniach ludowych gospodarują niektóre żywioły, starające się chłopu wciskać takie tylko książki, któreby go jeszcze bardziej ogłupiały. Wina tego nie polega jednak w zasadzie istnienia tych instytucyj, lecz w tem, że ogół chłopów zbyt jest dotąd ciemny, aby niemi owładnąć i wykorzystać je dla swoich, chłopskich interesów. Z drugiej zaś strony śmiesznem byłoby zaprzeczać, że dzięki właśnie tym i im podobnym „paliatywom,“ nie mającym nic wspólnego z przewrotami radykalnymi, wyrasta już dzisiaj silny zastęp chłopów, którzy na życie patrzą samodzielnie, którzy nie dadzą się wywieść w pole, ani „patriarchalnym“ zachciankom niedorosłych do zadań obywatelskich ludzi, ani spekulacyom niesumiennych żydów-pijawek. Redaktorowie zwalczanego wszelkimi legalnymi i nielegalnymi środkami „Przyjaciela Ludu“ mogliby o tem niejedno powiedzieć. Starostwa, i potężniejsze siły podają sobie ręce, aby lud nasz odwieść od czytania tego „szatańskiego pisma, pomimo to liczba prenumeratorów jego wciąż się wzmaga, a liczne głosy chłopów odzywające się na zgromadzeniach, świadczą, że i u nas zaczyna się wyrabiać lud, który bez względu na „wrodzony konserwatyzm“, nie ma najmniejszego zamiaru spełnić przewidywań socyalnej demokracyi i stać się „twierdzą obskurnego wstecznictwa.“ Dowodem tego emancypowania się oświaty z pod wpływu żywiołów ludowi świadomie lub nieświadomie wrogich, są dalej takie pisma jak „Wieniec“ i „Pszczółka“ ks. Stojałowskiego, a w odwrotnym

kierunku „Krakus“ i nawet „najlepszemi“ chęciami ożywiony „krakowski“ „Lud polski.“ Zaciętą walkę przeciw „Wieńcowi“ i „Pszczółce“ wypowiedzieli biskupi: wydawane przez nich kurendy nie wahają się grozić chłopom karą wiecznego ognia piekielnego, jeżeli pism tych nie wyrzucą z chałupy. Zdawało się, że przy znanej pobożności naszego ludu i przywiązaniu jego do kapłanów, kurendy „pożądany“ odniosą skutek; tymczasem ogół czytających pisma powyższe które nawiasem powiedziawszy nie zawsze zasługują na poparcie, ale bądź co bądź różnią się wielce od urzędowych świstków, utrzymujących chłopów w ciemnocie) umiał wznieść się do pominięcia kurend, twierdząc z odwagą, godną „uświadomionych“ obywateli, że w sprawach świeckich biskupi nie mają mu nic do rozkazywania.

Co zaś do „Krakusa,“ to wydający go z wielkim nakładem „Stańczycy“ mają na serjo zamiar zwinąć go z powodu braku abonentów, którzy wcale a wcale doń się przekonać nie myślą, pomimo uroczystych zapewnień redaktora jego, prof. Matusiaka, że on „dziecko ludu,“ ma nic co innego na myśli, tylko właśnie dobro chłopskich swych „braci“. A jaki los spotkał p. Strokę, wydawcę nie stańczykowskiego, lecz „demokratycznego“ „Ludu polskiego,“ o tem słyszeliście zapewne ze sprawozdań o ostatnim wiecu krakowskim. — Dzięki tym, potępianym przez socyalną demokracyę naszą „paliatywom“ wytwarza się także i we Wschodniej Galicyi stronnictwo chłopów ruskich, dające dowody intensywnego życia na licznych zgromadzeniach, a nie myślące wcale o działaniu wbrew zasadom prawdziwego „postępu,“ nie pragnące wcale budować „twierdzy wstecznictwa,“ ale przeciwnie dążące do jak najrychlejszego jéj zburzenia. A przecież niedawne to bardzo czasy, jak kałużę nieumiarkowanych rozsądkiem wycieczek wylewały tutejsze pisma socyalno-demokratyczne na twórców radykalnego ruchu ruskiego, p. Iwana Frankę, Pawlika i innych, odsądzając ich od czci i wiary tem więcej, że wymienieni panowie za lat dawniejszych czynny brali udział w ruchu robotniczym, opuścili jednak pole bezpłodnego ścierania się abstrakcyjnych teoryi i teoryjek, a zeszli na swojski grunt realnej pracy nad ludem i dla ludu. Właśnie te „paliatywy“ doprowadzą lud do tego, że będzie umiał z zasad socyalno-demokratycznych przyjąć te tylko, które na przyjęcie rzeczywiście zasługują.

Jeszcze jedno: gdy się rozpoczęła walka o reformę wyborczą, nasi socyalni demokraci lubili wykrzykiwać z emfazą, że chłopski „burżua“ nie zechce pracować nad tem, ażeby jego parobek czy komornik zażywał pełni praw obywatelskich, gdyż takie równouprawnienie sprzeciwia się ekonomicznym interesom gospodarzy. Tymczasem co się stało? Cały lud galicyjski, polski i ruski, i to właśnie (z natury rzeczy, bo więcej mający czasu na oświecenie się), chłopscy posiedziciele w pierwszym rzędzie, rozwinęli żywą bardzo agitacyę za powszechnem, równem prawem bezpośredniego głosowania.

Na pochwałę socyalnej demokracyi dodać trzeba, że w czasach najświeższych prowodyrowie jéj zeszli nieco ze swego stanowiska dogmatycznego, że nie żegnają się jak od złego ducha na wyraz „Polska“, „polski“, „naród“, „narodowy“, zaznaczając przy każdej nadarzonej sposobności, że są Polakami i narodowcami (ta potrzeba ciągłego zapewniania jest właśnie dowodem, że było nieco inaczej) i że pod względem pracy pomiędzy ludem zaczynają zmieniać dotychczasowe swe pojęcia: uznają — przynajmniej w teoryi jej potrzebę, nie ignorują ludu tak bezwzględnie, jak to czynili do niedawnych jeszcze czasów. Program ich pracy „ludowej“ jest wprawdzie wciąż jeszcze abstrakcyjny, wyciśnięty z dogmatów katechizmu marksowskiego, utworzonych wśród innych zupełnie warunków, aniżeli nasze. W każdym razie „rewolucyjny“ ten objaw (zmiana frontu nastąpiła dość nagle, nie w drodze powolnego przetwarzania się) jest momentem dodatnim i korzystnym — nie dla urzędowej socyalnej demokracyi, skostniałej w kręgu idej z przed lat czterdziestu, ale dla sprawy racyonalnego, na pierwiastkach ludowych opartego postępu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że młodzież będzie się coraz bardziej emancypowała z pod wpływu socyalistycznych przewódzców i zaciągała się w szyki „ludowców“.

Sądziłem, że kilka tych uwag potrzebnych jest dla tego, ponieważ na wszelkich dotychczasowych wiecach młodzieży (to samo dotyczy także zgromadzeń w Krakowie i Przemyślu, odbytych niedawno) dwa te kierunki „socyalno-demokratyczny“ i „ludowy“ ostre, nieraz namiętne staczały ze sobą walki, których rezultat na razie jest taki, że na ostatniem zgromadzeniu 15 bm. pobici zostali ludowcy. Jest to jednak zwycięztwo Pyrhusowe: socyalno-demokraci umieli, nie wiem czy dzięki silniejszej agitacyi, czy też szczęśliwszemu trafowi w większej zgromadzić się liczbie, aniżeli ludowcy. Przy tem dodać trzeba, że pomiędzy tamtymi przeważała ilość „starych“, ztąd też z pewną słusznością zauważyło jedno z pism tutejszych, że charakter wiecu niedzielnego nie odpowiadał jego tytułowi, że był to nie „wiec młodzieży“, ale wiec partyi socyalno-demokratycznej. Organ młodzieży „Życie“, skarży się, że postępowanie socyalnych-demokratów było bezwzględne. Wiem z doświadczenia, że niektórzy z przewódców partyi robotniczej umieją zachowywać się nietaktownie, że nie szanują zdania przeciwnika, że mówców innego odcienia nie mogących używać argumentów ad oculos, do tego zniechęcają stopnia, iż ci zagłuszeni przez krzykaczów, nie skończywszy swoich wywodów, schodzą z trybuny. Tak było na zgromadzeniu niedzielnem; na wytłomaczenie dodać jednak trzeba, że podobnie dzieje się także nieraz i w innych „umiarkowanych“ obozach, i że ludowcy byli winni, iż nie stawili się w komplecie.

Nic więc dziwnego, że nie „Młodzież,“ ale stronnictwo socyalno-demokratyczne przyjęło rezolucye, postawione przez swoich prowodyrów, a wśród takich warunków wyglądające nieco śmiesznie. Bo chyba śmiesznością już i blagą niegodną partyi, która chce, aby ją traktowano poważnie, jest uchwalać bez udziału młodzieży (ludowcy wstrzymali się od głosowania), że młodzież ta ma przejść do obozu socyalno-demokratycznego. Inna znowu uchwała: „Ucisk narodowy, wyzyskiwanie ekonomiczne i upośledzenie polityczne, w jakiem żyje polski lud p r a c u j ą c y (oryginalne określenie) składa na postępową młodzież polską święty obowiązek poświęcenia swych sił dla pracy nad wyzwoleniem narodowem, ekonomicznem i politycznem ludu“ świadczy o wzmiankowanej u góry rewolucyi w pojęciach socyalnych-demokratów, w zasadzie jednak jest frazesem, gdyż młodzież postępowa uchwalać tego nie potrzebuje, bo to rozumie się samo ze siebie, bo to właśnie jest jej z góry zakreślonym celem. Ale widocznie wnioskodawca zwracał się do swoich towarzyszów, którzy niedawno jeszcze nie umieli przełknąć słowa „lud“ — do tego stopnia, że nawet przy śpiewaniu „Czerwonego sztandaru“ dziś jeszcze wskutek dawnego nałogu unikają starannie wyrazu „lud“, zastępując go liczniejszem ale odpowiadającem ich „dogmatowi“ pojęciem „robotników“. („Bo na nim w i d n a l u d u k r e w“). O ucisku narodowym także od niedawna dopiero zaczyna mówić socyalno-demokracya, ludowcom zaś nigdy wyraz „narodowy“, nie sprawiał dreszczów.

Zbyt wiele musiałbym poświęcić miejsca, wyszczególniając wszystkie rezolucye, wspomnę tylko, że uchwalono dążyć do zaprowadzenia powszechnego prawa głosowania, do reformy prasowej i reformy ustawy o stowarzyszeniach, do skrócenia dnia roboczego, do podwyższenia pracy etc.

Charakterystyczną dla różnicy, dzielącej socyalnych demokratów od ludowców, była uchwała następująca:

„Wobec obłudnych usiłowań warstw posiadających, stłumienia ruchu ludowego za pomocą kierowanych przez szlachtę i duchowieństwo instytucyj niby ludowych jak: kółka rolnicze, banki ludowe itd. lub planów wiecznych o włościach rentowych i przymusowych spółkach rolników oświadcza zgromadzenie, że uważa próby w najlepszym razie za łudzenie ludu i odciąganie go od jedynie racyonalnej walki klasowej i politycznej i zobowięzuje się wszelkich sił dołożyć dla zdemaskowania nieproszonych opiekunów ludu.“

Przeciw tym frazesom zatrącającym abstrakcyjnym dogmatyzmem, przeciw frazesom, które zupełnie ślepe są na realne warunki, w jakich żyć nam wypada i z którymi liczyć się trzeba, jeżeli praca ma rzeczywiście przynieść owoce, wystąpił jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ludowców wśród młodzieży, p. Stapiński, dowodząc bardzo słusznie, że „kółka rolnicze i tym podobne instytucye w dzisiejszych warunkach przynoszą rzeczywistą korzyść dla ludu i chronią go przed wyzyskiem i nędzą.“

Nie jest zadaniem kronikarza wykazywać brak najkardynalniejszych zasad logiki w powyższej uchwale — zresztą widzę, że i tak zbyt długo zatrzymałem się nad jednym przedmiotem z pominięciem wielu innych faktów, które zanotować potrzeba.

A więc prawie bezpośrednio po „wiecu młodzieży“, który odroczono (będę miał sposobność pomówienia raz jeszcze o tych sprawach) podążyłem na inne zgromadzenie, zwołane już nie przez młodzież, ale przez poważnych „mężów chrześcijańskich“, zgromadzenie w sprawie święcenia niedzieli.

Inicyatorami byli ludzie ze sfer posiadających, ludzie wielce szacowni, nie żadne żółtodzióbki i nie żadna hołota, a więc profesorowie uniwersytetu, nauczyciele gimnazyalni, kupcy i przemysłowcy, księża począwszy od kanoników, a skończywszy na wikaryuszach, a dla dekoracyi sali nie brakło także wspaniałego bukietu przysłowiowych hrabiów galicyjskich.

Na wniosek głównego referenta, profesora uniw. B a l a s i c z a, który niedawno ubiegał się jako kandydat obozu naszych demokratów-liberałów w jednym z okręgów wyborczych o krzesło w parlamencie, a który, przepadłszy postanowił widocznie chwycić się innej pewniejszej klamki, bo na wiecu tym z poczwarki romanowiczowskiej rozwinął się we wspaniałego motyla w guście p. G n a t o w s k i e g o — otóż na wniosek bardzo pobożnie przemawiającego profesora prawa przyjęto bardzo harmonijnie i zgodnie kilka bardzo pięknych rezolucyj. Nie ulega też wątpliwości, że zgromadzeni byliby w największej rozeszli się harmonii, gdyby nie kilku warchołów, którzy obradującym wykazywali fałsz i obłudę, nędzne episierstwo i tym podobne cnoty. Tymi warchołami byli jeden z przewodzców socyalnej demokracyi, Ż e l a s z k i e w i c z, dalej pewien subjekt (nie wiem, czy do dnia dzisiejszego nie stracił miejsca) A l e k s a n d e r J a w o r s k i i — hr. W o j c i e c h D z i e d u s z y c k i. Pierwszy w bardzo dosadni sposób udowadniał, że odpoczynek niedzielny w tych granicach, w jakich istnieje dotychczas, był wyłączną zasługą robotników, i że właśnie robotnicy postawili zeszłego roku na ankiecie przemysłowej w Wiedniu kategoryczne żądanie zniesienia pracy niedzielnej, a że sprzeciwili się temu przedstawiciele tych, którzy zwołali wiec niedzielny. Jeden z tych przedstawicieli udowadniał nawet, że święcić niedzieli nie można, ponieważ publiczność lwowska nie potrafiłaby się obyć bez świeżej bułki. Dalej wytykał pan Ż e l a s z k i e w i c z klasom posiadającym, że robotników, niechcących w niedzielę pracować, zmuszają do tego groźbami odebrania im chleba łamiąc przepisy dziesięciorga przykazań bez najmniejszych skrupułów, z cynizmem nieomal. Nadto przytoczył fakt, że komitet Wystawy, jakkolwiek mógłby sobie w inny pomódz sposób, udał się z prośbą do arcybiskupów M o r a w s k i e g o i S e m b r a t o w i c z a o pozwolenie łamania niedzieli na placu wystawowym. Arcybiskupi zgodzili się na to, ale cóż, kiedy oprócz robotników żydowskich nikt z ich pozwolenia korzystać nie chciał. P. J a w o r s k i przypomniał prezydyum wiecu, że przed niedawnym czasem tow. młodzieży handlowej czyniło zabiegi około zaprowadzenia przymusowego święcenia niedzieli, że jednakże spotkało się z oporem szefów, z których kilku właśnie przewodniczy wiecowi. Wskazanie osobistości, rozpierających się z poważną wielce miną na krzesłach prezydyalnych

wywołało wśród zgromadzonych okrutne „hallo“. Oliwy do ognia dolał wreszcie hr. Dzieduszycki, który miał odwagę ku wielkiemu zgorszeniu obecnych episierów napiętnować w godny sposób postępowanie naszych kupców, którzy, jak to na wiecu uniewinniał ich jeden z przewodniczących, dla tego nie święcą nieniedzieli, ponieważ obawiają się konkurencyi żydów. Jesteśmy ludźmi bardzo bogobojnymi, obowiązki względem Boga i bliźniego spełniać chcemy z całem poświęceniem — bylebyśmy tylko przypadkiem nie narazili naszej kieszeni. Taką jest moralność episierów! Rumienili się na słowa „Wojtka“ (bo tak konfidecyonalnie lubią niektórzy nazywać h. Dzieduszyckiego) i prof. Balasicz, i p. Markiewicz, i p. Schaer, i p. Gubrynowicz, i p. Thullie, i pan Drechsler i p. dr. Pilat (wszyscy zasiadający za stołem prezydyalnym) no i zapewne wielu, bardzo wielu innych. — Ponieważ jednak siedzieli w krzesłach od strony okien wielkiej sali ratuszowej, więc szlachetne ich oblicza znajdowały się w cieniu, który wstydliwie zakrywał wypieki. Niektórzy z nich zasłaniali sobie policzki ręką, przybrawszy pozycyę, znamionującą pokorę i skruchę.

Mowa hr. Dzieduszyckiego zasługiwałaby i z innych względów na wyszczególnienie, muszę jednak odmówić sobie tej przyjemności — tak samo pominąć mi trzeba „Teatr ludowy“, którego inauguracyjne przedstawienie odbyło się tej samej niedzieli. Ponieważ „Teatr ludowy“, na którego czele stoi ten sam hrabia Dzieduszycki do spółki z p. Łomnicką, żoną prof. gimnazyalnego, jest u nas pierwszą próbą stworzenia instytucyi o znaczeniu wielce doniosłem, więc relacyę odkładam do korespondencyi następnej.

Stanisław Antoni Zaporski.

Kronika paryzka.

22 kwietnia.

(Zamach anarchistyczny. Ks. Le Rebours) Wystawa pamiątek po Maryi Antoninie. Kongres spirytystów. Nowości teatralne.)

Zaczynamy się tu już przywyczajać do anarchistycznych wybryków, manifestujących się bombami. Ostatni taki czyn, pełen heroizmu i mądrości spełnionym został dziesięć dni temu w restauracyi Foyot, mieszczącej się na lewym brzegu Sekwany, na rue de le Tournon, prawie wprost Senatu. Nie ma Paryżanina, któryby nie znał tej restauracyi, cieszącej się pod koniec cesarstwa niebywałą wziętością, a zachowującej i dziś jeszcze renomę więcej niż dobrą. Klientela Foyota składa się w większej części z ludzi zajmujących wybitne stanowiska polityczne czy literackie. Spotkać tam można codziennie w godzinie śniadania i obiadu wielką liczbę senatorów — powiedziałem już, że senat jest o dwa kroki — lub profesorów przeróżnych fakultetów, znajdujących się w tej samej dzielnicy. Bomba położona na ramę okna, wychodzącego na ulicę de Condé, wybuchnęła o pół do dziewiątej wieczorem. Była to pora obiadowa, w sali znajdowało się kilkanaście osób — przy samym oknie zajmował stolik poeta, przewódzca dekadentów, p. Laurent-Tailhade. Istnym cudem bomba nie zrobiła licznych ofiar, raniąc po części zupełnie nieznacznie. Dwie tylko osoby zostały ciężej dotknięte, t. j. pan Laurent-Tailhade i garson, obsługujący go w chwili eksplozyi. Rany są ciężkie u obu ofiar. Rannych przeniesiono natychmiast do szpitala de la Charité. Doktorzy orzekli po zbadaniu ran, że niebezpieczeństwa śmierci nie ma i rzeczywiście dzisiaj obaj chorzy znajdują się już na najlepszej drodze do zupełnego uzdrowienia. Sprawców zamachu dotychczas nie odkryto. Zniknęli bez śladu. Co jest z tego wszystkiego niewesołego najciekawsze, to to, że p. Laurent-Thailhade, a więc główna ofiara zbrodni, należy do wyznawców wprawdzie platonicznych, ale dosyć głośnych anarchii. Jest on synem urzędnika rządowego, pochodzi z pod Pirenejów. Wychowanie odebrał w seminaryum i przeznaczał się początkowo do stanu duchownego. Zmienił jednak zamiar; przybył z prowincyi do Paryża i wydał kilka tomów poezyj: Jardin de Rêves, Vittraux, itd. Pomiędzy młodymi poetami pan Laurent-Tailhade jest jednym z tych, którzy najszybciej doszli do pewnego znaczenia i rozgłosu — zsuwając się z szczytów Parnasu do skrajnego dekadentyzmu. Pomiędzy przypuszczeniami, na których się sąd, szukając winnych, dotychczas musiał ograniczyć, znajduje się i to przypuszczenie, że p. Laurent-Tailhade był uwiadomiony o zamierzonym zamachu. Nie posądzają go o czynny udział w zbrodni, ale tylko o to, że dowiedziawszy się o zamiarze rzucenia bomby — która prawdopodobnie przeznaczoną była teatrowi Odéon lub Senatowi, pan Laurent-Tailhade przyszedł do restauracyi, by być niejako w pierwszej loży i nic z widowiska nie stracić. Przypuszczenie to nie ma w sobie nic nieprawdopodobnego. Autor „Jardin des rêves“, którego muza dekadencka żywiona jest chloralem i morfiną, mógł być popchniętym do tego wątpliwej moralności kroku przez specyalną, właściwą dekadentom historyę: historyę łaknienia nowych i silnych wrażeń. Prawdy w tym wypadku zapewne nikt się nie dowie, bo wątpić należy, by p. L.-T. przyznał się do winy, jeżeli jest rzeczywiście winnym. A teraz jaką konkluzyę wyciągnąć z tego nowego zamachu? Myślę, że nie warto zagłębiać się w psychologiczne studyowanie powodów i przyczyn zbrodni. Ktokolwiek zabija dla samej przyjemności zabicia, bez motywów osobistej zemsty, bez nadziei uzyskania jakiejkolwiek materyalnej lub moralnej korzyści, ten jest po prostu waryatem. Waryatem bezprzeczie bardzo niebezpiecznym, bo udzielającym przez samo obcowanie z ludźmi — drugim waryactwo — ale zawsze tylko waryatem. I dla tego to zbytecznem jest, a może nawet niesprawiedliwem usiłować wywieść anarchię z jakiegokolwiek stronnictwa politycznego — usiłować dowieść, że zrodziła się z doktryn skrajnych socyalistów. Najprościej pewnie powiedzieć sobie, że anarchia nie jest opinią, przekonaniem, ale monstrualnym objawem patologicznym.

Duchowieństwo paryzkie, a także i cała arystokratyczna parafia kościoła de la Madeleine, zajmuje się teraz ważną kwestyą: kto obejmie miejsce po zmarłym księdzu Le Rebours. Kandydatów jest kilku, równie wysokiej wartości — wybór więc będzie trudny. Kościoł de la Medeleine jest najlepszą, najwięcej przynoszącą parafią paryzką — mówią najskromniej obliczający o 50,000 fr. rocznego dochodu, niektórzy mniej umiarkowani obliczają roczne dochody na 80,000 fr. Zmarłemu ks. Le Rebours ofiarowano kilkakrotnie godność biskupią — odmawiał jednak zawsze, szczerze do swego kościoła i do swej parafii przywiązany. Pochodził ks. Le Rebours ze znanej tu rodziny, liczącej pokrewieństwa w najarystokratyczniejszym świecie W tym też świecie wybranym zmarły najchętniej się obracał i pozostawił po sobie najlepsze wspomnienie i szczery żal.

Dziś w niedzielę otwartą została za staraniem kilkunastu wybitnych osobistości świata arystokratycznego i finansowego, wystawa pamiątek po Maryi Antoninie. Kolekcya wystawionych przedmiotów jest bogatą i autentyczną. Jedną z najcenniejszych pamiątek jest bez zaprzeczenia trzewik spadły z nogi królowej, w chwili, gdy wstępowała na ostatni stopień szafotu: trzewik czarny atłasowy, należący obecnie do pani Duruy, która go otrzymała drogą spadku po matce swej, pani Jubinal, bibliotekarce cesarzowej Eugenii, a znanej kolekcyonerce.

Donoszą nam z Liège o przygotowaniach na nowy kongres spirytystów — wiadomość, która tu nie zostanie bez echa. Paryż posiada wielu, bardzo wielu adeptów spirytyzmu. Do wyznawców Allan'a Bardec łączą się spirytualiści, occultyści, budhyści, a także ciekawi wszystkich sekt, którzy w przedmowach, odczytach, albo książkach, ciągle poruszają i niepokoją biedną ludzkość, chcąc dojść zkąd się wzięła i dokąd dąży. Wielu jest między nimi cieszących się błogą nadzieją, że wreszcie podchwycą słowo zagadki, że są już nawet na najlepszej drodze ku temu. Dodać trzeba, że tu do rzędu wyznawców spirytyzmu należą nieje-dne wielkie inteligencye. Spirytyzm ma nawet swoich artystów i znanych artystów, jako to Allard'a, Besnard'a, a zwłaszcza Jamesa Tissot'a, któremu podobno wielkie duchy, skąpane w świetle mistycznem, przychodzą z wielką uprzejmością służyć za modele.

Z nowości teatralnych nie ma chwilowo nic ciekawego do doniesienia, chyba to, że w Ambigu znajduje się od kilku dni na repertuarze dramat Le Chouans, przerobiony przez p. p. E. Blavet i P. Berton z powieści Balsaca. Dramat dobrze zbudowany, interesujący i pełen siły — wypełnienie ról doprawdy mistrzowskie i zasługujące na poklask uznania. Wspomnę tu także o wczorajszej premierze Odeonu Deux Noblesses, komedyi p. Henri Lavedau, autora głośnego Księcia d'Aur'a, sztuki, która swego czasu tak żywą wywołała polemikę. Przymioty Deux Noblesses są jednak wiele słabsze i daleko tu do świetności poprzedniego dzieła.

Ag.

NA WYŁOMIE.

(Polemika. Wyprawa do piekła).

Stało się! Cała orkiestra piorunów zagrała mi nad uchem marsza pogrzebowego. W zwartych szeregach rozgniewanych „Wielkopolanek“ pojawił się jakiś kuchcik piekielny, który dotknięty manią wielkości mianuje się duchem Lucius Korneliusza Sulli, a jako trzeci junak wyjechał na koniku zdumiewającej logiki i filozofii p. dr. T. Jackowski z Pomarzanowic. Chcąc się należycie rozprawić z „trójlistną koniczyną“ musiałbym milowym artykułem uszczęśliwić „Przegląd Pozn.“, a ponieważ wiem z doświadczenia, że każda Redakcya lęka się kilometrowych polemik, zatem ograniczam się z konieczności do kilku szkicowych komentarzy.

Listy anonimowe różnych „Wielkopolanek“ i „Nie-Wielkopolanek“ adresowane do Redakcyi „Przeglądu Pozn.“ pomijam milczeniem. Spełniając obowiązek publicystyczny, napiętnowałem tę poznańską plagę w przeszłym fejletonie ostrym wyrazem, a gdybym silniejsze słowo znalazł w słowniku dziennikarskim cisnąłbym je z pewnością w twarz fabrykantkom nieszlachetnej korespondencyi. Adres, pod którym wysłałem tak gorzką krytykę, był dokładnym i wyrazistym, a w obec tego trudno mi istotnie znaleść odpowiedź na pytanie, dla czego uderzenie moje takim krzykiem oburzenia przyjął świat kobiecy i kuchcik z Hadesu? Czy to zła wola, czy też ambaras polemiczny?

A nadto mówią mi „najmilsze nasze,“ że wiążąc florety z korespondentkami „Dziennika“ i „Gońca“ zapomniałem o fraku i białym krawacie. Nie chcę tu się rozwodzić nad różnicą salonu i areny publicystycznej, nie chcę tu rozpatrywać przywilejów kobiecych, — powiem tylko tyle, że ton odprawy mojej zastósowałem ściśle do tonu zaczepki. W wszystkich nieomal „obronach Wielkopolanek“ królował żywioł osobisty, a dzwonią mi jeszcze w uszach słowa pewnej rozumnej kobiety, która czytając elaboraty przeciwniczek moich z ironicznym uśmiechem szepnęła: „Prawdziwie kobieca taktyka! Nie wojują z treścią artykułów, leczz panem X. ukrytym za przyłbicą Sulli. Nie przesądzam, czy wojownicze Amazonki wpadły na trop fałszywy, czy też prawdziwy, to pewna jednak, że wysiliły całą fantazyą swoją, aby wynaleźć szczerby i plamy nie tyle w fejletonie ile w autorze.“

Prezentujecie, Wielkopolanki moje, wasz rachunek, pozwólcie zatem, że i ja zaprezentuję mój własny. Posługując się w poważnej dyspucie bronią plotkarek, nie żądajcie, abym z wytworną elegancyą odpowiadał na szpileczki wasze.

Pewne wyjątkowe stanowisko w powodzi polemiki kobiecej zajmuje artykuł z dn'a 24go kwietnia b. r. podpisany literami R. S. Jest to jedyny nieomal rzeczowy artykuł, który, pomijając piętno przesadnej pretensyonalności, nie nuża się z lubościa w figowej kawie plotkarstwa. Hold jednak oddany po rycersku charakterowi taktyki niewieściej w ciasnych obracać się musi grani-

cach, bo treść, a przedewszystkiem argumentacya filipiki poważne nasuwa wątpliwości. W fejletonach moich krytykowałem brak intenzywności w narodowych działaniach kobiet zaboru pruskiego: nie skarzyłem się na pewne warstwy, miasta i powiaty, lecz sumiennem okiem badałem stosunki na całym obszarze polskich prowincyi niemieckiego cesarstwa, a rozpatrzywszy w tym ogólnym rachunku plus i minus, do przykrych istotnie doszedłem refleksyi. W ślad za mną nie podążyła niestety żadna przeciwniczka. Repliki oparto na stosunkach miasta Poznania lub pewnych wyjątkowych okolic, gdzie dzięki energicznej inicyatywie jednostek snem kamiennym nie drzemie społeczno-narodowe życie w kobiecych szeregach, a nadto posunięto się do niesłychanej przesady, sprowadzając dyskusyą na zupełnie niewłaściwe tory. Pouczono mnie n. p., że „Księgarnia katolicka" magazyny mód i szwalnie są dziełami ręki kobiecej i przedsiębiorstwa te przeciwstawione argumentacyi mojej jako pomnik narodowej działalności. Zaiste! dowiemy się może niebawem, że zwijanie papierosów i konfekcya damska są patryotycznem bohaterstwem. Czyż pani R. S. istotnie nie umie odróżnić kwestyi zarobkowości kobiecej od narodowej działalności? Czyż w artykułach moich nie wyczytała gorącej intencyi, aby te kobiety, które po za pracą zawodową lub flirtem nie składają trudu swojego na ołtarzu publicznym, zagrzać przykładem sióstr kongresowych? Nie mówiłem przecież o warszawskich szwaczkach i pannach sklepowych, lecz o „społecznicach" i patryotkach rosyjskiego zaboru, a tu chyba zasadnicza tendencya moja z całą wypukłością na jaw wystąpiła. Usłyszano larum bojowe i stracono rozwagę. Uchwycono się słów i zwrotów pojedyńczych, zapominając zupełnie, że każdy wyraz dopiero w świetle całości odpowiedniego nabiera znaczenia. A przytem znowu generalizowano poszczególne objawy działalności kobiecej podnosząc je do znaczenia typowości. Ciśnięto mi w oczy „Pomoc naukową dla dziewcząt", ochronki, składy ludowe i t. d., a zapomniano przytem: 1) że w wielu filantropijnych instytucyach powtarzają się te same nazwiska założycielek i kierowniczek, 2) że ta społeczno-narodowa działalność inaczej przedstawia się w Poznaniu, a inaczej w miastach prowincyonalnych Księstwa, Prus i Warmii, 3) że mnie w pierwszym rzędzie chodziło o kształcenie dziatwy polskiej w ojczystym języku, 4) że procent naszych „społecznic", obszar ich pracy i wytrwałość tracą poniekąd intenzywność blasku swojego w porównaniu do działalności Kongresowianek i Litwinek.

Charakterystycznym przykładem nieznajomości stosunków naszych jest następujące zdanie, które znajduję w korespondencyi pani R. S. „Powiem ci tylko tyle — mówi oponentka — że we wszystkich znajomych mi domach, tak w mieście jak na prowincyi, nauka języka polskiego kwitła aż do czasu, kiedy ?) było (?) dozwolonem nauczanie prywatne w zakładach rządowych przez nauczycieli i „nauczycielki specyalistki."

Winszuję przeciwniczce mojej, że koło jej znajomych odznacza się tak szlachetną wytrwałością, ale gdyby zapytała redaktorów poznańskich dowiedziałaby się niewątpliwie, że słomiany ogień zagasł nader szybko, że już przed reskryptem ministra Bossego nadpływały z rozlicznych stron bezustanne skargi na zaniedbanie nauki domowej, że ta nauka wreszcie ustała z małemi wyjątkami zupełnie, gdy otworzono gmachy szkolne na mocy wiadomego reskryptu. Toż najstarszy dziennikarz poznański, który dziś z taką kurtuazyą drukuje wszystkie panieńskie protesty, mógłby w tym względzie służyć ciekawym materyałem, a wiadomo mi z źródeł najwiarogodniejszych, że redaktor ten z pewnym sceptycyzmem wyrażał się o działalności kółek rodzinnych, przyczem użył zwrotu: „Znudziła się zabawka."

Cóż na to panna Halina? Jest to jedna z tych przeciwniczek, które na seryo brać istotnie nie można. Pragnę uwierzyć, że jest młodą i piękną, ale żółciowość jej świadczy raczej o zgorzkniałem życiu, a poziom argumentacyjny przypomina umysł pensyonarki. Razi ją niedelikatność stylu mojego, krzyczy mi nad uchem: że ona „takim językiem walczyć nie umie, — miota się z rozpaczy, że tak bez rękawiczek zabrałem się do niej — ale to wszystko nie przeszkadza jej wcale nazywać mnie „płaskim, niegodnym, brutalnym i niesłychanie zarozumiałym". Oto tylko kilka kwiateczków, które uszczknąłem z jej krasomówczego bukietu. Nie żądam od ciebie nadzwyczajnej logiki, czarodziejko moja, bo przecież już Sienkiewicz powiedział, że u kobiety nieraz 2 razy 2 jest lampa, ale ponieważ przypuszczam, że znasz przynajmniej 10 przykazań, więc proszę: Racz sobie ósme przypomnieć. Wtedy uznasz może łaskawie, że mówiąc o „procentualnem" rozpatrywaniu ujemnych i dodatnich typów kobiecych nie mogłem „wszystkich" kobiet nazywać „istotami bez większej wartości". Dopóki tego nie uczynisz borykająca się z marami własnej wyobraźni, Halino, ja do „cichych cnót", które tak głośno reklamujesz, szczyptę negacyi dorzucę: Poświęcasz prawdę dla dogodzenia próżności. Przypuszczam, mentorko moja, że gdy twoje czarowne oczęta przeczytają taką nauczkę, zawrze strasznym gniewem twe zbolałe serce i pomodliwszy się do Minerwy, bogini mądrości, oraz Marsa, patrona wojny, wytoczysz przeciw śmiałkowi armaty najjcięższego kalibru. Bądź wola Twoja, Halino! Tym razem będziesz miała łatwą sprawę, bo posłuszny życzeniu Twemu, aby reformę rozpocząć od siebie, postanowiłem milczeniem odpowiadać w przyszłości na Twoje bańki mydlane.

Na koniec pozostawiłem sobie wyprawę do piekła. Tam na stolcach płomiennych zasiadło trzech sędziów piekielnych: Aeakos, Minos i Rhadamantys. Odzywa się dzwonek i przed groźne oblicza ponurej trójcy wprowadza woźny zapłakane djablątko, chude, mizerne i nierozwinięte.

Woźny: Oto winowajca.

Aeakos: Ile lat liczysz maleńki?

Djablątko: (płaczliwie) Czternaście.

Aeakos: Gdzie twoi rodzice?

Djablątko: Umarli.

Aeakos: Kto cię wychował.

(Djablątko milczy.)

Adwokat: Ulica.

Aeakos: Panie prokuratorze! Cóż pan temu dziecku zarzucasz.

Prokurator: Wysocy sędziowie! Zaraza moralna szerzy się jak dżuma. Ludzkość cała zatruta, a trucizna nawet w kraj cieniów przenika. Oto stoi przed nami dziecko, które zaledwie lat czternaście liczy, a już występne i zgangrenowane. Spoglądacie panowie na młodego fałszercę dokumentów, którego obwiniam, że nadużył nazwiska dyktatora Luciusza Korneliusza Sulli, aby niem własną miernotę osłonić. Tam w górze, wśród ludzi, tuła się list z podpisem rzymskiego dostojnika, a świat żyjących niepomny zasady „De mortuis nil nisi bene" urąga bratu naszemu, urąga Romie starożytnej, że takich karłowatych miała dyktatorów. Ten chłopiec, panowie, zbezcześcił pamięć bohatera. Niech was młodość jego nie rozczula, bo serce tam robaczywe, i nie występek, lecz rafineryą występku sądzić wam wypada. Sądźcie zatem, sądźcie bez litości. Niechaj przez trzy lata rozpamiętuje winy swoje w domu poprawy.

Aeakos: Panie adwokacie! Słuchamy obrony.

Adwokat. Wysocy sędziowie! Ponieważ oskarżony przyznał się do winy, nie pozostaje mi nic innego, jak ograniczyć obronę moją do przedstawienia łagodzących okoliczności. Ja w rafineryę występku u dziecka tego uwierzyć nie mogę, bo ona tylko na gruncie rozwiniętej umysłowości wyrasta. Odczytajcie dokument sfałszowany, a przekonacie się natychmiast, że na ławie oskarżonych zasiadło kurcze niewypierzone, któremu zachciało się skrzydeł literackich. Toż dzieciak ten rzuca się z junacką Donkiszoteryą na makaronizmy przeciwnika swojego, a sam łacińskiemi cytatami upstrzył pismo swoje. Lecz nie dość na tem! Jakiś Donżuan angielski, który od roku bałamuci nam wszystkie djablice, lubi dźwięcznym wyrazem flirtu operować. Słowo to utkwiło w pamięci obwinionego o zbrodnią embryonu i odtąd już z ust jego nie schodzi, chociaż znaczenie flirtu dlań jest tajemnicą. Raz mu się zdaje, że flirt to umizgi, gra ócz magnetyczna, uścisk i pieszczota, a potem znów uderzenie, bicz i sarkazm narzędziem flirtu mianuje. Nie! panowie! nie szukajcie refleksyi w tym dziecięcym mózgu! Ot zwyczajnie swawolny chłopak garścią frazesów uszczęśliwił „Dziennik Poznański", a dla większego aplombu i efektu, dla uzyskania gościnności w ziemskiej gazetce, posunął się do nadużycia cudzego nazwiska i głośną firmę podpisał. Toż czczość sama wieje z artykułu tego! Dwa tuziny mdłych ogólników, cztery korce pospolitych impertynencyj, cały legion rażących sprzeczności — oto owoce dziecięcego mózgu! Czyż jeszcze żądacie dowodów, że ten umysł spoczywa w niemowlęcych powijkach? Chcecież to djablątko małe sądzić, jak wytrawnego, rafinowanego przestępcę! Panowie! W statucie Hadesu jest jeden paragraf, który w tym wypadku zastosować proszę: Różczką sam Jowisz dziateczki bić każe!

Aeakos (naradziwszy się z kolegami swoimi ogłasza wyrok): Niechaj mu rózg dziesięć wymierzą, a potem wstawią do kąta.

* * *

Wśród Wielkopolanek żywy ruch się budzi. Cześć wam za to! Jeżeli wytrwacie, ja dumę moją zdepczę nogami, pójdę do Canossy i na kolanach cześć waszą wyśpiewam.

* * *

Panu dr. Jackowskiemu: Do widzenia za tydzień! *Sulla*

Z estrady i sceny.

Przegląd teatralny.

(Myszy bez kota. Komedya w 3 aktach Jordana. Występy p. Tekli Trapszówny.)

Niemcy rozróżniają ściśle dwa rodzaje utworów scenicznych, — Lustspiel i Schwank — u nas Polaków klasyfikacya ta nie uzyskała jeszcze w tym stopniu praw obywatelstwa, aby radykalnie wypłoszyć z afiszów wyraz komedya, gdy na deskach przesuwa się pospolita farsa. Zresztą posiada literatura polska wielką obfitość takich właśnie utworów, których w ramy powyższej klasyfikacyi ująć niepodobna. Są to komedye z odcieniem krotochwili, lub krotochwile z odcieniem komedyi, są to utwory balansujące na granicy dwóch kategoryi scenicznych — tu Lessing, tam Laufs i Jacoby. Takie podwójne Janusowe oblicze odsłania przed nami najnowsza komedya Jordana p. t. „Myszy bez kota". Dokładność charakterystyki i ścisła indywidualizacya typów ujawnia nietylko pretensye autora spróbowania sił swoich w dziedzinie wyższej twórczości scenicznej, lecz pozwala istotnie zaliczyć go w poczet poważniejszych komedyopisarzy, z drugiej strony jednak brak wszelkich poważniejszych zawikłań, wyłączność sytuacyi komicznych, epizodyczność akcyi i pewna jednostronność rysunku psychologicznego obniżają Jordanowski utwór do poziomu krotochwili.

Mniejsza jednak o etykietę. Farsa i komedya mają jednę i tę samą właściwość wspólną, która jest nerwem życiowym każdego utworu scenicznego. Tu i tam winien być ruch postępujący, coś dziać, coś się rozwijać powinno. Szeregowanie obrazków fotograficznych bez tego parcia naprzód, bez tego wątku przewodniego, który sunie dalej i dalej, bez intrygi i perypetyi, może zachwycić nas wyrazistością konturów, układem grup poszczególnych, soczystością kolorów, ale nie nie stworzy silnych łączników między publicznością i sceną. Spoglądamy wtedy w barwny świat kulis jak na chińskie cienie czarodziejskiej latarni, unosząc z sobą wrażenie pewnych postaci i sytuacyi, ale zimni, obojętni, nie związani niczem z losem bohaterów. Taką obrazkową wartość jedynie przyznać mogę utworowi Jordana, który mimo rodzimego humoru i plastyki typów nie umiał świetnego materyału ułożyć w wiązania artystycznej kompozycyi. Sztuka nie znosi humoru dla humoru

i charakterystyki dla charakterystyki, tam wszystko powinno być ogniwem łańcucha, celową cząstką harmonijnej całości, przyczyną lub logicznym skutkiem. Tak zwane epizody, stosowane obficie w nowoczesnych komedyach i farsach, szukanie postronnych efekcików, odskakiwanie od linii prostej, wszystko to psuje zwykle fasadę i całokształt utworu. Rzeczowość akcyi jest jednym z głównych warunków powodzenia sztuki, a tej rzeczowości nie ma w Jordanowskich „Myszach bez kota“. Kłótnie poety — ogrodnika z łacinnikiem — organistą, humorystyczne fajerwerki na bankiecie w zamku hrabiowskim, popisy „piscikulturnika“ — oto obfity materyał prawdziwego komizmu, ale materyał ten obniża wartość konstrukcyjną jak owe gzemsy, sztukaterye i przystawki, któremi drugorzędni architekci lubią stroić arcydzieła swoje. Rozumiem dobrze, że autor dramatyczny dla wywołania pewnego tła i atmosfery szuka niekiedy pomocy w akcyi epizodycznej, rozumiem, dla czego Dr. Rank zjawia się w „Norze“, dla czego w końcu Sodomy dwóch gimnazyastów scenę przebiega, a w „Gnieździe rodzinnem“ trzech filistrów zasiada do skata, ale jeżeli w zalewie akcyi pomocniczej ginie główny wątek, jeżeli akcya ta na pierwszy plan się wysuwa, jeżeli rzuca się epizody dla epizodów na scenę, to utwór pozostawia wrażenie zlepku dramatycznego. Mówię to wszystko może nawet nieco zadługo pod adresem p. Jordana, ponieważ jest to bądź co bądź talent wybitny, z którym krytyka poważnie liczyć się musi. W „Myszach bez kota“ uderza mimo wszystkich błędów architektonicznych jakaś dziwna szczerość humoru, rodzima swada i zdumiewająca zdolność obserwacyjna, a do szczęśliwszych pomysłów autorskich zaliczam ukazanie w akcie trzecim nowej postaci komicznej w osobie p. Serwackiej. W chwili, gdy sztuka zdradzać zaczyna znamienne symptomy anemii, wprowadza autor do żył jej strumień krwi świeżej, wysuwając na scenę typ nieznany jeszcze publiczności. Charakterystyczną cechą dobrej krotochwili jest właśnie taki zapas materyału komicznego, aby akt ostatni zawierał niespodzianki pewne, zamiast kończyć dzieje bohaterów dokładnie przewidzianem już w aktach poprzednich rozwiązaniem. Na zasadzie powyższej zbudowane są wszystkie głośniejsze farsy niemieckie i francuzkie, a przypominam tu tylko taką „Madame Bonivard“ lub „Ungläubiger Thomas“, przypominam wreszcie sobotnią premierę: „Oj! młody, młody“, która w czwartym akcie uraczyła nas śliczną niespodzianka w osobie krakowskiego gościa. p. Tekli Trapszówny.

Zachowując sobie na przyszłość ocenę Fredrowskiego utworu, wyrażam dziś tylko zdziwienie, dla czego wesoła ta sztuka, która najmniej 10 lat życia już liczy, dopiero w roku bieżącym stanęła w repertuarze poznańskiej sceny. Jest pewna kategorya utworów, które dyrekcya wtedy dopiero prezentuje publiczności naszej, gdy gość znakomity zjawia się przed rampą. Marcello przywiozła nam Koniec Sodomy i „Żywy Posąg,“ „Ludowa,„Gniazdo rodzinne,“ a Tecia Trapszo „Oj! młody! młody!“ Gość odgrywa tu widocznie dla dyrekcyi rolę wygodnego parawana, który zasłania ją skutecznie przed cenzurą naszych stróżów moralności, a rozliczne te względy i obawy taki mają skutek, że na wystawę najgłośniejszych utworów nowoczesnej literatury przez lata całe czekać musimy napróżno. Drwią sobie nawet w ciasnym Krakowie z poznańskich listków figowych, ale my steroryzowani przez ludzi pragnących obniżyć sztukę do poziomu podręcznikow dla pensyonarek. wtedy dopiero fałszywe rumieńce ścieramy, gdy za repertuarem obcej diwy jak za ochronnym puklerzem ukryć się możemy.

Lecz dziś rozwodzić się nie będę nad krakowską artystką, jako zwiastunką „teatralnej nowości“ (sic). bo ramy pogawędki mojej starczą zaledwie na pobieżny szkic jej dramatycznego talentu. Tekla Trapszo jest niezawodnie wybitnym talentem, a mimo młodziutkiego wieku swojego umiała rozstać się nieomal zupełnie z cechami scenicznego nowicyatu. Przymus, ambaras, wysiłek zostały za kulisami, a na scenę wstępuje naiwne dziewczątko o łagodnem ócz chabrowych spojrzeniu, swobodne, żywe i chwytające za serce dziecięcą naturalnością. Szablonowemi sztuczkami „naiwnych“ nie popisuje się krakowska artystka, nie szepleni, nie skubie fartuszka, nie stara się o sztuczną pieszczotliwość głosu. Snać w dobrej szkole rozwijano ten talent artystyczny, bo nie „teatralną naiwną“ tam wykształcono, lecz naiwne dziecko, a nadomiar nauczono młodą artystkę w typie naiwnej uzewnętrzniać indywidualność ludzką. Panna Trapszo unika szczęśliwie jednostajności, w którą zwykle popadają przedstawicielki jej artystycznego kierunku. Naiwność opiera się tu na gruncie odmiennych temperamentów dziecięcych, a ztąd mienią się poniekąd jej barwy. Ruchliwa twarz artystki z błyskawiczną szybkością kaprys żalem serdecznym, a łzy uśmiechem zasłania, oczy jej grają coraz innym blaskiem. to dziecko niewinne szczebioce przed nami, to budząca się kobiecość pierwszym drzeniem namiętności wstrząsa jej organizm.

Wśród tylu zalet jednak uderzył mnie pewien dysonans, który poważne obudzić może obawy. W dłuższych frazesach, które jednym tchem wypowiedzieć trzeba, pojawia się pewna nieczystość głosu, pewna chropowatość i szorstkość. Nie wiem, czy tylko chwilowej niedyspozycyi, czy też nadwyrężeniu strun głosowych, objaw ten przypisać wypada, bądź co bądź jednak zalecamy artystce ostrożność.

Oddawszy hołd należyty krakowskiemu gościowi, poczuwam się do obowiązku wyrazić uznanie p. Wojdałowiczowi, który w Jordanowskiej i Fredrowskiej premierze odtworzył dwa odmienne typy z świetną charakterystyką i plastyką. P. p. Czerniak i Modzelewski w roli żyda Szkopka i głupiego Grzesia (Myszy bez kota) zdobyli sobie przynajmniej succès d'estime; p. Królikowski natomiast dopiero znakomitą grą w „Fredziu“ powetował nieudaną rolę Kominkiewicza; p. Knapczyński nadto eleganckí i sztuczny w „Myszach bez kota“ odniósł jako główny bohater w Fredrowskiej komedyi „Oj młody młody“ tryumf stanowczy grą pełną życia i swobody. W akcie pierwszym tylko królowała szarża w mimice artysty, ale winna temu po części publiczność nasza, która przyklaskując karykaturom wiedzie na manowce aktora. *R.*

KRONIKA LITERACKA.

— Stanisław Schür-Pepłowski, Z przeszłości Galicyi 177—1862. Lwów 1894, str. 317.

Nikt dotychczas nie zajął się napisaniem historyi Galicyi, a przecież rzecz to bardzo ciekawa. Pan Pepłowski pragnie ten brak poczęści zastąpić — myśl bardzo dobra, ale wymagającą sporego przygotowania i pracy archiwalnej. Materyałów niezużytkowanych jest moc ogromna — same archiwa wiedeńskie wystarczyłyby historykowi na dzieło wielkich rozmiarów. Autor jednak tak daleko nie sięga. Zagląda czasem do rękopisów Zakładu Ossolińskich, ale przeważnie kompiluje z kilku dzieł niemieckich i z licznych dziełek i broszur polskich, a przeważnie z pamiętników. Nie jestto więc właściwie historya Galicyi, ale są to obrazki z jej dziejów, ułożone w sposób chronologiczny, z charakterem przeważnie anegdotycznym. Tom pierwszy kończy się na zajęciu Galicyi przez ks. Józefa w roku 1809. W opowiadaniu materyał bierze górę nad autorem, to znaczy, że autor nie korzysta z niego według obmyślonego naprzód systemu. Wszystko co zebrał, co wyczytał, miał za równie dobre, za równie odpowiednie. Stąd zaraz obok aktów urzędowych spotykamy wierszyk humorystyczny, po opisie stanu Uniwersytetu lwowskiego idą rozporządzenia administracyjne, wśród których jest mowa o zabawach publicznych, o tańcach i chwytaniu psów przez oprawcę. Do opisu wojny 1809 roku wsunął autor wszelkiego rodzaju anegdoty, zebrane z pamiętników, nie pogardzając nawet opowiadaniem o sierżańcie Jaszczudzie i o stroju adamowym Artura Potockiego. Jasnem jest z tego, że pierwszy tom książki p. Pepłowskiego nosi cechę współczesnego pamiętnika, którego autor tworzy silva rerum z tego, co widział, słyszał lub wyczytał. Jako taka ma książka bezsprzecznie wartość dla szerszych kół czytelników, chcących wiedzieć jakto było za dawnych czasów, a nie mających chęci przeglądania licznej naszej literatury pamiętnikowej. Ostatni rozdział pierwszego tomu poświęcony jest dziejom Rzeczpospolitej krakowskiej (1815—1846 chociaż dzieje jej stanowią zupełnie odrębną całość i do „przeszłości Galicyi“ nie należą. Mniejsza jednak o to, gdyby autor postarał się o zajrzenie do źródeł, a nie wierzył wszystkiemu, co było drukowane. Inaczejby wówczas wyglądał np. ostatni prezydent Schindler, a co za tem idzie mielibyśmy prawdziwszemi barwami opisany upadek Rzeczypospolitej krakowskiej. Ten brak krytyki, ta wiara w słowo drukowane, jest główną wadą książki p. Pepłowskiego. *K. B.*

* * *

— Zeszyt I tomu IV „Materyałów do historyi powstania 1863—1864 r. wyszedł nakładem i czcionkami drukarni ludowej we Lwowie. Komitet redakcyjny, który z wielką sumiennością i niemałem poświęceniem wywięzuje się z zadania swojego, wystósował do publiczności dwie prośby następujące:

1. Prosimy o zbieranie wszelkich dokumentów, odnoszących się do tej epoki, przesyłanie nam zapisków, wspomnień i pamiętnikéw osobistych, nakonice fotografij swoich i wszystkich towarzyszy walki 1863—64!

2. prosimy o wsparcie usiłowań naszych, w których na własne środki ograniczeni, wkrótce musielibyśmy ustać, przez zjednywanie między ukształconą publicznością, a szczególnie między towarzyszami z 1863—64 nabywców publikacyi naszej-

My z naszej strony popieramy gorąco życzenie powyższe ze względu na wartość historyczną tej publikacyi, która nie w świetle legendy lecz dokładnych badań i poszukiwań przedstawia smutne dzieje ostatniego powstania. Wszelkie korespondencye wysyłać należy pod adresem Wny P. I. K. Janowski, Lwów. Rynek nr. 3.

KRONIKA POWSZECHNA.

— Donosimy czytelnikom naszym, że Eliza Orzeszkowa zapisała się w szeregach współpracowników „Przeglądu Pozn.“

— O obrazie prof. Jaroczyńskiego „Boża męka“ który od dni kilku wystawiony jest na sali Bazarowej, rozpiszemy się w jednym z najbliższych numerów. Dziś zwracamy tylko uwagę na zalety rysunkowe tego utworu.

— Pan radzca dr. Koehler odczytał w Tow. Przyj. Nauk interesującą rozprawą o „Ołowiankach z Bugu przy Drohiczynie“.

— W dniu 25 kwietnia odbył się na sali Bechsteina w Berlinie koncert znanych artystów warszawskich p. Heleny Hochedlinger i Witolda Szaniawskiego, barytonisty. Pan Szaniawski koncertował przed niedawnym czasem z znacznem powodzeniem w Poznaniu.

— Niejaki dr. Siegen założył w Peszcie dwutygodnik polityczny p. t. „Westoestliche Rundschau“, a na sztandarze wypisał obronę interesów trójprzymierza. W szumnych reklamach wymienił sprytny redaktor nazwiska 236 współpracowników, wśród których figurowały pierwszorzędne powagi literackie Niemiec. Austryi. Szwajcaryi, Włoch, Węgier, Skandynawii,, Anglii, Hiszpanii, Danii a nawet Turcyi i Finlandyi. Z pewnem niedowierzaniem spoglądaliśmy na te lśniące szeregi, które p. dr. Siegen w bój wyprowadzał przeciw wrogom trójprzymierza, a mianowicie nazwiska duńskich pisarzy, zbudziły w nas sceptyczne refleksye. Przeczucia nasze spełniły się niebawem, bo oto Jerzy Brandes, Jonas Lie i Aleksander Kielland oświadczyli publicznie, że o niczem nie wiedzą, żadnej oferty nie otrzymali i nigdy nie przyrzekali pisywać do Siegenowskiego organu. Kielland protest swój zakończył następującą ironiczną uwagą: „Nigdy na usługi niemieckie nazwiska mojego nie oddawałem. Cóż tam rozkrzykują? Interesa trójprzymierza? Co to jest?

— Warszawskie „Echo myzyczne“ donosi o nominacyi znanej i u nas ze zeszłorocznych występów koncertowych dzielnej pianistki p. Maryi Wasowskiej na profesorkę gry fortepianowej w konserwatoryum petersburskiem.

BIBLIOGRAFJA.

— Tarnowski St. O kolendach. Kraków. 1894. 1 mk.

— Marya Radziewiczówna Lew w sieci. Powieść. Warszawa 1894, w 8-ce str. 445. Cena 2 rsr.

— Wielka wojna w r. 189? Z orygina'n angielskiego przełożył Z. Poznański Lwów, 1894. Cena: złr. 1,50.

Odpowiedzi Redakcyi.

— Panu K. w Inowrocławiu. Prasa popsuła społeczeństwo nasze cukierkami. Nie dziw więc, że gorzkie słowa prawdy witają krzykliwym protestem. Czyż Pana dziwić może zaciekłość „starego przyjaciela“? Nienawidzi młodych, którzy uznać nie chcą jego blasków fałszywych. — Wiadomą sprawę załatwimy w przyszłym tygodniu.

— Pani S. w G. Przyznajemy, ale „nieraz gorzkie lekarstwo dobre skutki sprawia“, jak mówi Słowacki. Zresztą podsunięto mu fałszywe intencye, a w polemice używano nieszlachetnej broni osobistych inwektyw. Dzisiejszy artykuł wyjaśnia kilka zwrotów nadto ogólnikowych, które przy bliższem objektywnem rozpatrzeniu przedstawiają się w wiele łagodniejszym świetle.

— Panu Berkanowi w Berlinie- Zamieścimy w przyszłym numerze.

Sprostowanie.

W Kronice krakowskiej, zamieszczonej w Nr. 4 czytać należy zamiast „Beusem“ — Benoem, zamiast „Heletów“ — Helclów-

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Masław Zmorski z Poznania. — Nakładem: „Przeglądu Poznańskiego.“ Czcionkami W. Simona w Poznaniu.